

A/ ZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA



ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

2(12)/2006
bezpłatny



Dla
członków
KW Warszawa
10% zniżki

Warszawa

- HiMountain w **CH Reduta** Al. Jerozolimskie 148
tel. 022 823 91 04
- HiMountain w **Galeria Arkadia** Al. Jana Pawła II 82
tel. 022 331 27 96
- HiMountain ul. Królewska 2 (wejście od **Krakowskie Przedmieście**)
tel. 022 827 17 11
- Warszawa Janki, HiMountain w **CH Geant** Mszczonowska 3
tel. 022 711 30 77



HiMountain



HiMountain



Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Afrykańskie miraże	4
Marko Prezelj – wywiad; część II	24
Obóz letni w Val Masino	48
Jak się nie wspinać szybciej i bezpieczniej – zastosowanie praktyczne	52
Akcja na Sertori	58
Wspomnienia z jednego dnia obozu KW Warszawa w 2006 roku	66
Podsumowanie sezonu skałkowego 2006	70
Podsumowanie sezonu w Tatrach 2006 – wykaz przejęć	78
Pożegnania	88
Po-słowie Po-Prezesa	92
Info klubowe	95



A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa

Nr 2 (12)/2006

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Maciek Lama Olinkiewicz (lama@post.pl), Artur Paszczu Paszczak (paszczak@qdn.net.pl), Mariusz Wilan Wilanowski (marysia029@o2.pl)

Korekta: Katarzyna Kędracka., Małgorzata Rokicka

Do powstania numeru przyczynili się: Bogdan Ciborski, Piotr Drożdż, Iza Figiel, Jan Hobrzański, David Kaszlikowski, Michał Wachowski, Michał Ziółkowski.

W A/Zero piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek wypadek powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/Zero. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko. Redakcja A/Zero nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za zgodą redakcji A/Zero.

Okladka I str.: Eliza Kubarska na nowej drodze Królestwo Sępa na Suri Tondo. Ręka Fatimy, Mali. Fot. David Kaszlikowski

Okladka IV str.: Artur Paszczak na drodze *Via Vinci* na Pizzo Cengalo. Fot. Z. Skierski.

S ł o w o P r e z e s a

O odpowiedzialności i wyobraźni w górach.

„Gdy idziemy w góry, ciąży na nas wielka odpowiedzialność za to, żeby się w nich nie zabić” – tak z grubsza powiedziałem ostatnio reporterowi TVN, gdy zapytał mnie o niebezpieczeństwo we wspinaniu. Po wypadkach ostatnich lat mam bowiem coraz większe przekonanie, że wielu z nas, a szczególnie tych młodszych stażem, w pogoni za górskim przeżyciem gubi ten, bodaj najważniejszy, element sztuki alpinizmu.

„Dobry alpinista, to stary alpinista” – mawiamy. Czy zdajemy sobie sprawę z implikacji tego twierdzenia? Tak – wielu z nas ryzykuje, tak – niektórzy z nas forsują granice ryzyka, ale dopóki odbywa się to w zgodzie ze sztuką, w zgodzie z rozsądkiem i odpowiedzialnie – dopóty mówimy o alpinizmie. Poza tą granicą zaczyna się szaleństwo, a nawet – głupota.

Odpowiedzialność w górach to jednak nie tylko odpowiedzialność za siebie. Równie mocno, a może nawet mocniej alpinista jest odpowiedzialny za swego partnera. I tej właśnie odpowiedzialności najbardziej mi w ostatnim czasie brakuje. Dobry wspinacz zna swego towarzysza, pomaga mu, podtrzymuje na duchu, ale przede wszystkim nie zmusza do działania ponad jego możliwości! Nie naraża go na wspinaczki, które są dla niego po prostu za trudne lub wykraczają poza zakres doświadczenia zespołu. To jest klucz do bezpieczeństwa w górach, ale do tego potrzebna jest nie tylko znajomość partnera, ale także ogromna doza empatii, pozbycie się egoizmu i wielka zdolność zrozumienia. Często wymaga to zrezygnowania z ambitnego celu, pomimo zaawansowanych przygotowań lub dobrej formy. A czasem zmusza do wyjaśnienia owemu partnerowi – „stary, nie teraz, musisz do tego jeszcze dojrzeć”.

Zabrakło odpowiedzialności na Matterhornie tej zimy. Zabrakło w tylu aspektach, że aż trudno je wszystkie wymienić. W 2005 r. zabrakło jej na Kaukazie i zapewne brakowało jej w wielu innych przypadkach. Bo często ludzie nie wiedzieli nawet, że są za kogoś odpowiedzialni. Immanentną częścią odpowiedzialności jest bowiem wyobraźnia. Zdolność, a może w ogóle chęć przewidywania. I tego – a kieruję te słowa do tych z Was, którzy swą przygodę z górami dopiero zaczynają – wymagamy od Was przede wszystkim. Pamiętajcie – jesteście członkami Klubu Wysokogórskiego, organizacji o prawie stuletniej tradycji, spadkobiercami wspaniałych ludzi, którzy za swoje poczucie odpowiedzialności nierzadko płacili najwyższą cenę. I my, Wasi klubowi koledzy, wymagamy tego dziś od Was – abyście zawsze, idąc w góry, przewidywali, co może się wydarzyć, abyście z wyobraźnią podchodzili do możliwości własnych i partnera, i abyście nigdy nie zapominali, że spoczywa na Was wielka odpowiedzialność za los całego zespołu. Za siebie i za każdego z partnerów. I pamiętajcie – w razie wątpliwości zawsze miejcie odwagę odmówić. To nie wstyd, to obowiązek.

Takie jest nasze *esprit de corps* i z tego każdy z nas jest rozliczany.



Paszcz

E. Wedel

Potrzebujesz energii?

Chałwa Królewska -
idealna dla wymagających

- 👑 duża dawka energii
- 👑 wszędzie się zmieści
- 👑 nie zamarza







*Gdzie jest najlepsze wspinanie na ziemi? Gdzie najpiękniejsze ściany?
Wielu odpowie: wiadomo Alpy, Himalaje, Yosemite, najfajniejsze skałki
to pewnie na południu Francji (kilku powie że Rzędkowice ;-))
A może gdzieś na świecie są miejsca ciekawsze?
Jakiś czas temu zadałem sobie to pytanie i zacząłem szukać...
Od kilku sezonów razem z Elizą Kubarską realizujemy
plan otwierania nowych dróg.
W rejonach rzadziej odwiedzanych szukamy
pięknych ścian.*

Afrykańskie miraże

Tekst: David Kaszlikowski

Zdjęcia: David i Eliza /www.studiowspin.com.pl

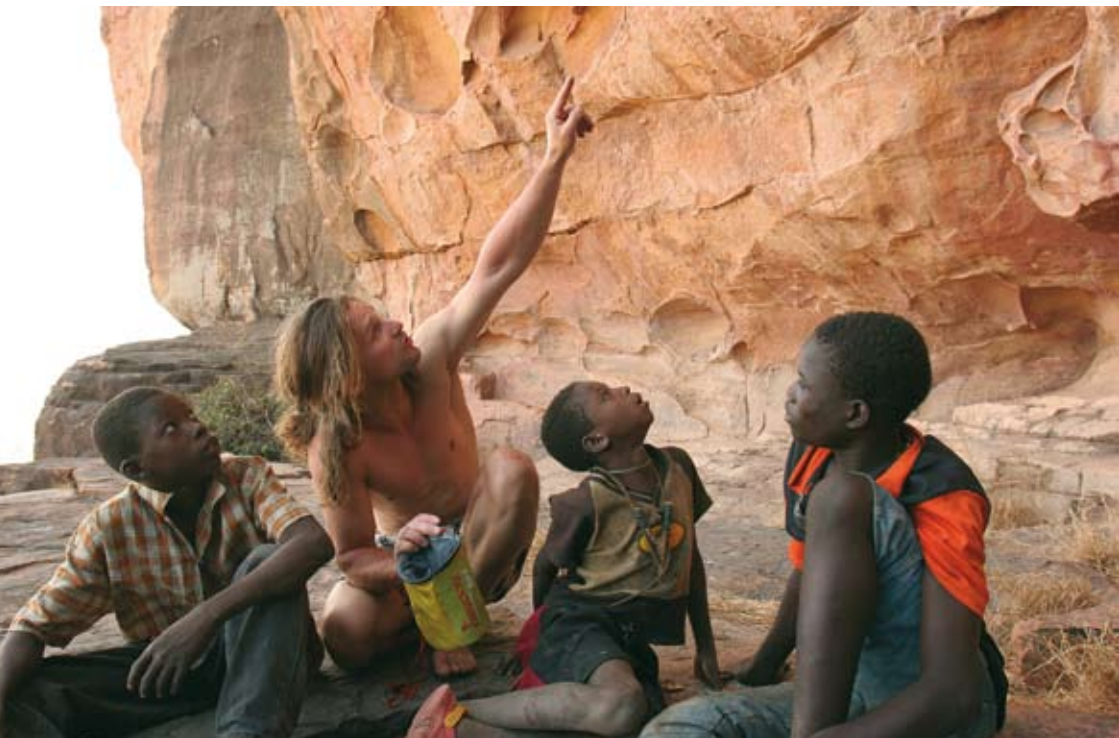
Afryka należy do tych zakątków globu, gdzie wciąż czekają na nas niezwykle przygody. Czarny Łąd to halucynogenne krajobrazy i tajemnicze ludy, których historię i kulturę pochłoniął piasek pustyni. Szukacie wielkich ścian dla twardzieli, nie pasują wam tłumy nawiedzające najbardziej popularne rejon-y górskie? Proszę bardzo, podaję kilka możliwości: Tsaranoro, 800 metrów granitu – Madagaskar, Mlemy (po 600 m) – Mozambik, Millner Amphiteater 600 metrów – RPA, ściany gór Ndoto – Kenya, kilka tajemniczych formacji w Sudanie, ściany Tibesti i En-nedi Towers w Czadzie. Nie chcę tu zdradzać wszystkich tajemnic, ale o górach Mali, rejonie Hombori i złotych wieżach wylaniających się na horyzoncie na krawędzi Sahary chyba mogę już napisać ;-).

W roku 1978 w Mali pojawił się Salvador Campillo, wspinacz z Katalonii. Salvador swoim Land Roverem przemieszczał się po bezdrożach, zdobywając kolej-

ne ściany. Od samego początku największym zainteresowaniem wspinaczy cieszył się masyw Ręki Fatimy. Tych pięć skalnych wież wyrasta na pustynnej równinie Sahelu. Nazwa rejonu poza oczywistym skojarzeniem z dłonią to jednocześnie szeroko rozpo- wszechniony w Afryce arabski symbol pomyślności.

W tamtych czasach wspinaczka w dziczy nie cieszyła się zbyt dużą popularnością. Wszelką działalność wspinacze zaczynali od rozmów z wódzami wiosek. Podarki, dyplomacja – bez tego ani rusz. Salvador umiał sobie poradzić. Nauczył się miejscowych dialektów i bardzo szybko wziął sobie za żonę dziewczynę z plemienia Peul. Na jej rodzinnym terenie w wiosce Daari zbudował małą zagrodę, która z czasem została przekształcona w skromną bazę turystyczno-wspinaczkową. Od lat byłem zafascynowany tym rejonem, a przygody Salvadora i pierwszych alpinistów w Mali obrosły już legendą.

Szybki kurs wspinaczki.





Psychiczny trawers w drodze do grobowca Tellemów.

Mandinka – ekspedycja pierwsza polska ;-))

Najpierw postanowiliśmy zobaczyć coś nowiutkiego, mało znanego i wcale nieobrośniętego ani mchem, ani legendą :-). Siba leży zaledwie 50 km od Bamako, stolicy kraju, blisko granicy z Gwineą. Z zalesionej mangowcami równiny wyrastają góry Mandinka.

Bus pełen czarnych jak smoła ludzi Bambara wypełniony jest po brzegi. Jedynym błędym akcentem w tym transporcie jest dwójka obładowanych warami Polaków. Szofer posadził ich najdalej od drzwi. Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo do tego auta wchodzi się z każdej strony. Nie ma przecież żadnych szyb. Przynajmniej się nie poduszają, zdaje się myśleć kierowca. Gdy wyjeżdżamy z miasta, robi się jednak ciężko. Żar z nieba i pył z bitej drogi próbują pogrzebać nas żywcem. Droga do Gwinei jest co prawda właśnie kryta asfaltem, ale jeszcze się na niego nie załapujemy. Zresztą nie spodziewaliśmy

się niczego innego, skądinąd wiem, że jedyna droga przecinająca cały kraj – 2000 km od tropikalnej Gwinei po Saharę – w całości została pokryta asfaltem dopiero w roku 1994.

Po 5 godzinach poniewierki wyskakujemy. Ściany wyglądają przepięknie, dla wspinaczy zostały odkryte zaledwie kilka lat temu, ale już teraz można powiedzieć, że najlepsze sportowe drogi w Mali znajdziecie właśnie tu. Około godziny 14 nie myślimy jednak o wspinaniu, musimy znaleźć jakiś cień. Łaskawie przygarnia nas młodzieniec o butnej minie bossa: „Nazywam się pan Keita, a to jest kamping Kamadjan”.

W dusznym cieniu bungalowu, przy pomocy wszechobecnej coca-coli, żywiąc się owocami mango, przeżyjemy następny tydzień.

Szukając miejsc pod nowe drogi, odwiedzamy tutejsze atrakcje: ponad 100-metrowy łuk skalny Kamadjan, niezdobyta wieża Niankema, wokół kilka-naście dużych ścian bez nazwy, na których nie ma

jeszcze żadnej drogi – pod względem ilości skały rejon jak cała nasza Jura.

Wspinanie przewyższa nasze oczekiwania nie tylko dlatego, że skała jest dobrej jakości. Prowadzeni przez miejscową dzieciarnię odnajdujemy sekretne przesmyki na szeroką półkę wiszącą 100 m nad szalasami wioski Kalassa. To sektor Tabasci, stąd zaczynają się najlepsze sportowe drogi w Mali. Szorstki piaskowiec szybko wydiera skórę. W pionie wspinanie jest delikatne – bo nigdy nie wiadomo, czy wklejone w piaskowiec kamyczki nie polecą, za to w przewieszeniu przemieszczamy się skokami między wielkimi „serowymi” dziurami. Ten bardzo powietrzny i zarazem totalnie odcięty od świata (dojście tylko wąskim przesmykiem) sektor tak nam się podoba, że właśnie tu postanawiamy spędzić pierw-

szą afrykańską noc w dziczy. Następnego wieczoru wspinamy się przez jaskinie z namiotem i bukłakami pełnymi wody. Po drodze do plecaka zbieram drwa na ognisko...

Siedzimy przy ogniu, z góry obserwując maleńkie ogniste punkciki. To kobiety w wioskach przygotowują właśnie wieczorny posiłek.

Następny dzień nie jest już tak dobry. Podczas wspinaczki rozgrzewkową drogą atakują mnie afrykańskie pszczoły. Ta odmiana słynie z bezinteresownej agresji i mimo że w okolicy nie ma żadnego gniazda, kąsają mnie dwa razy w najbardziej czułe miejsce – powiekę. Eliza szybko opuszcza mnie na ziemię. Sama dokładnie zawołowana i oturbaniona jakoś ściąga ekspresy. Najbliższe dni spędzę, walcząc z opuchlizną. Miejscowi mó-



wią, że miałem szczęście, podobno kilka lat temu pszczoły zagryzły tu angielskiego turystę.

Złote wieże

Przemieszczamy się prawie 1000 km na północ bliżej sławnego Timbaktu w rejon gór Hombori. 14 km od miasteczka Hombori stoi najbardziej znany – jak już wspomniałem – legendarny masyw Ręki Fatimy. Pięć wielkich płaskowcowych wieżyc wyrasta prosto z równiny Sahelu.

Pojawiliśmy się tu już po najlepszym sezonie wspinaczkowym. Temperatury w słońcu sięgają 56° C. Z tego powodu podczas całej podróży nie spotykamy praktycznie żadnych wspinaczy. Wszyscy już wyjechali. Ludzie z wioski przez

większość dnia chodzą, jak w letargu. W nocy temperatury zmieniają się dramatycznie, spadając nawet do 10° C, jednak pod koniec marca nawet w nocy pojawia się duszący i gorący wiatr (temp ok. 35° C).

Mieszkamy w wiosce Daari na opustoszałym kampie, na terenie zagrody Salvadora Campillo, który w tym roku zupełnie nietypowo bawi na... Biegunie Północnym.

Jego rodzina, czarnoskóra żona Manya i syn Adam, częściej nazywany Yaye, pomogą nam przeżyć najbliższy miesiąc.

Mali należy do pięciu najbiedniejszych krajów świata.





Dogon.

W Daari ludzie jedzą to, co zebrali z pola przed suszą. Bogatsi wypasają kozy i krowy, choć wiedzą, że gdy wyschną studnie, ich trzoda padnie. Dla mieszkańców tych okolic zachodni turyści są jedynym źródłem dochodu. Jedni proszą nas o leki, inni próbują sprzedawać kolorowe podstawki do naczyń wypłatane z łodygi prosa. Co kilka dni Moussa, pomocnik Mani, przynosi nam maleńkie jajka wioskowych kur. Zostawia je na stole i nawet nie pyta,

czy chcemy. Ma nadzieję, że w końcu i tak zapłacimy.

Jedna z najbardziej sympatycznych kobiet w wiosce, Ada, przychodzi do nas dzień w dzień. Jej malutki synek, cały utyłtany w pyłe, ma wyduły brzusek, który wskazuje na poważne niedożywienie. Sympatyczna dzieciarnia wioskowa z czasem staje się dla nas męcząca i to zupełnie nie ze swojej winy. Jesteśmy obserwowani niemal na każdym kroku. Proste czynności takie, jak mycie czy jedzenie obiadu stają się na ich oczach wyrzutem sumienia. No bo jak wylewać wodę do płukania, jak jeść kaloryczny europejski obiad, wiedząc, że patrzące się na ciebie dzieci są spragnione i głodne. Z drugiej strony, jeżeli zaczniesz wszystkim pomagać, to sam nie będziesz miał, co jeść. Poza tym, jak pomóc, jak wybrać jednego, jeżeli pomocy potrzebują wszyscy? Wewnętrzny konflikt bez rozwiązania.

Każdego dnia budzimy się przed piątą, szykujemy sprzęt, żeby jak najszybciej dostać się pod ściany. Około 6 wstaje słońce – Ręka Fatimy zaczyna błyszczeć jak wielkie sztaby złota, a my mamy coraz mniej czasu, by podejść pod ścianę i nie stopić się w promieniach słońca. Każdego dnia wychodzimy obciążeni 8 litrami wody. Już podczas jednodziennego podejścia wypijamy po litrze. Gdy rozpoczynamy wspinaczkę, dalsze 7 litrów jest dźwigane

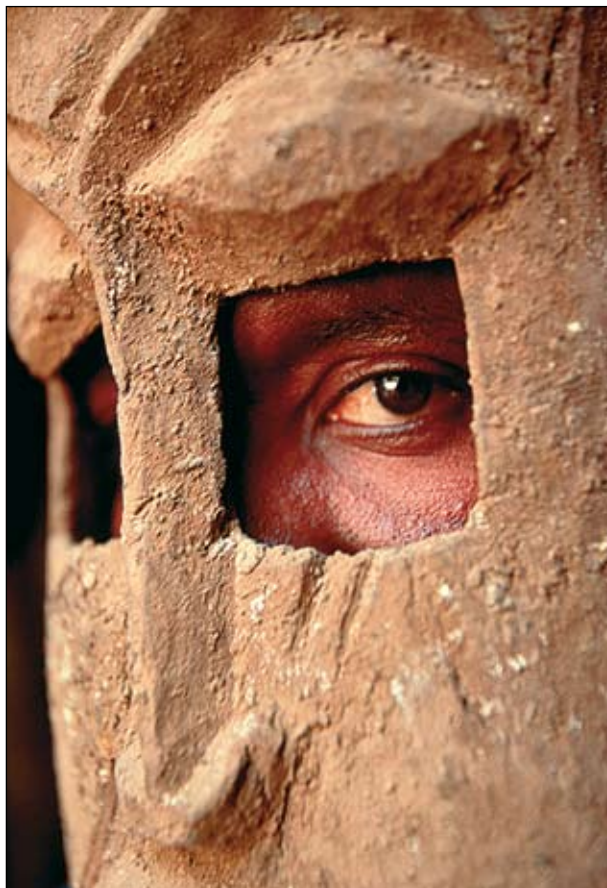
przez drugiego na linie. Ten ciężar jest niezbędny, bo w wysokiej temperaturze w każdej chwili odparowujemy spore ilości wody, które natychmiast trzeba uzupełniać. Przykre doświadczenie z ubiegłorocznej wspinaczki w Atlasie w Maroku – kiedy prawie mdleliśmy w ścianie z odwodnienia – nauczyło nas traktować ten problem bardzo poważnie. Dodatkową przestrogą jest dla nas los pioniera afrykańskiego wspinania, Francuza Alaina Pujos, który z braku wody umarł w masywie Hombori Tondo (najwyższy szczyt Mali 1150 m n.p.m.).

W nieznanie

Poza sławną Ręką Fatimy i najbliższymi masywami Kissim i Barkoussou na Sahelu stoi jeszcze cała masa niezdobitych ścian. W poszukiwaniu inspiracji na naszą nową drogę wyruszamy wynajętym Nissanem Patrelem na objazd najciekawszych ścian. Nie zobaczymy wszystkich, bo ściany rozrzucone są tu w obrębie prostokąta wielkości 350 x 100 km.

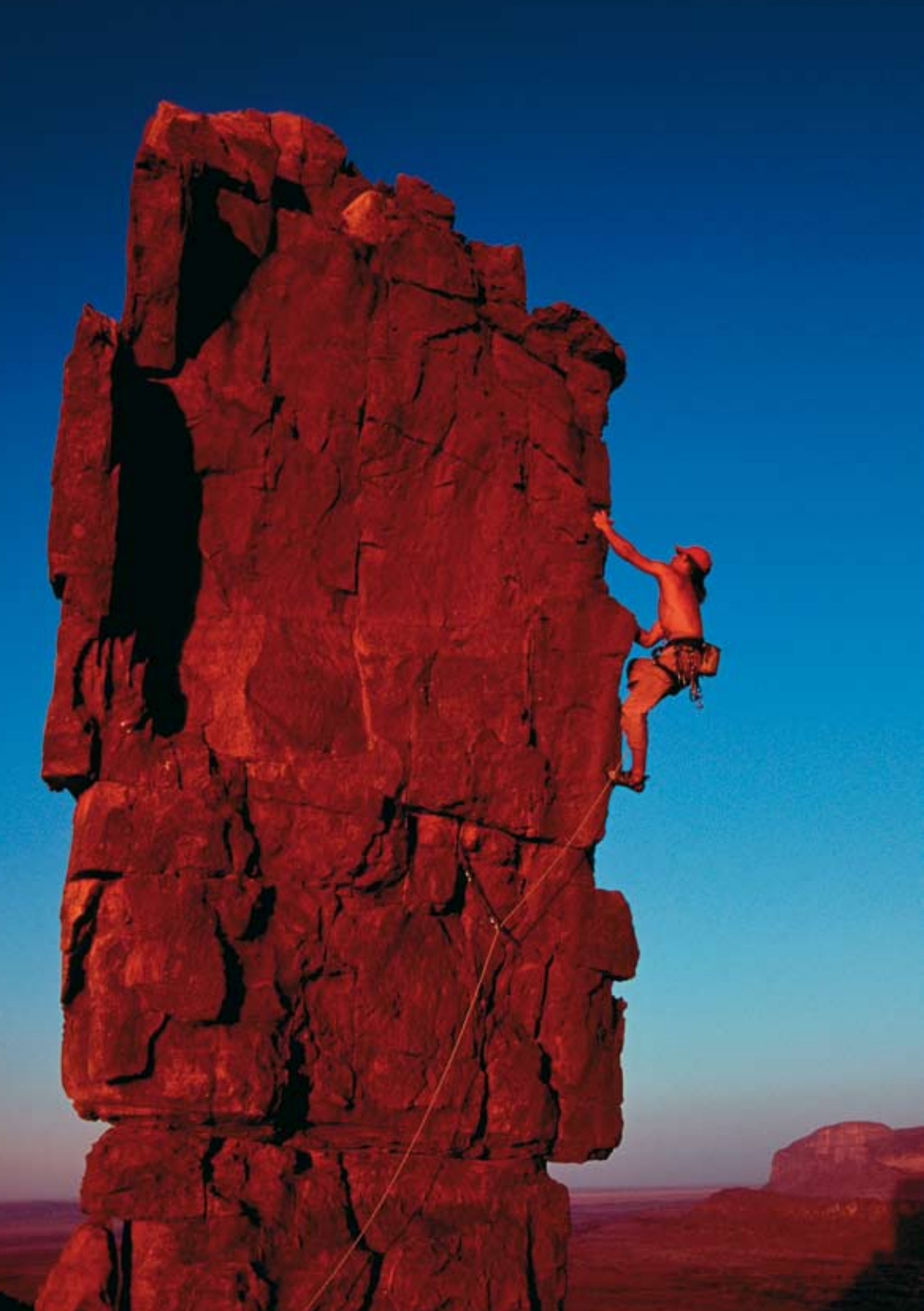
Wyruszamy z Hombori, kolorowego miasteczka, do którego co tydzień ściągają na targ Tuaregowie aż z pustyni, galopują na swoich wielbłądach z obowiązkową szablą u pasa.

Kilka kilometrów za Hombori regularna droga urywa się.



Maska Dogonów.

Nasz skądinąd sympatyczny szofer Neiri swoje prawo jazdy dostał chyba w prezencie. Już w ciągu dwóch pierwszych dni udaje się mu przewrócić drzewo i wpaść w poślizg na wydmie, co niemal kończy się dachowaniem. Innego dnia nie zauważył, że właśnie wsiadamy do auta, nagle rusza i prawie wciąga Elizę pod koła. Chwilami żaluję, że nie pozwolono nam wypożyczyć samochodu bez szofera. Na wszelki wypadek w końcu przejmuję kierowni-



cę, a Neiri ląduje na tylnym siedzeniu. Jadąc przez sawannę, rzadko poruszamy się po wytyczonej drodze. Nasz dwumetrowy przewodnik, Amadou Djallo, pewną ręką prowadzi nas po bezdrożach, w sobie tylko znany sposób odnajdując przejazd między wydrami albo gęstymi zagajnikami drzew. Jazda w tak dzikim terenie jest dla mnie jak rajd Paryż-Dakar. Po prostu trzymam kierunek, a mój „pilot” dba o szczegóły.

Podczas drogi objeżdżamy masyw Sarniere, potem Dyounde – ponad 200 m ściany, a u podnóża plemiona, dla których jesteśmy niewątpliwą atrakcją przyrodniczą. Kiedy stajemy, aby uzupełnić wodę, zbiega się zawsze cała wioska. Kiedy wyciągam z wora naszą akumulatorową wiertarkę, ludzie z obawą w oczach zastanawiają się, czy to jest kabin?

Ściany nas zachwycają, najlepsze stoją niekończennie w totalnej dzicy poza Dyounde. Wspaniałe wielokilometrowe zerwy wznoszą się w okolicach miasteczka Boni.

Niestety wiele z najlepszych ścian ma wystawę południową, co w tym klimacie dostatecznie tłumaczy, dlaczego wciąż pozostają dziewicze.

W następnych dniach tropimy rzadką odmianę stoni pustynnych. Kilka spotkań z tymi oblepionymi suchym błotem olbrzymami było kuszeniem losu, które o mały włos zakończyłoby się tragicznie. Ten pustynny szczep należy do najbardziej dzikich i niebezpiecznych zwierząt sawanny. Słonie w tym stadzie są największymi (niemorskimi) ssakami na ziemi. Ważą do 7,5 tony i mają ok. 4 m wzrostu. Na jedną grupę stoni natknęliśmy się w zagajniku akacjowym. Szukając dogodnej pozycji do fotografowania, obserwowałem stojące w oddali osobniki,

wcale nie patrząc na to, co dzieje się wokół mnie. Kiedy wyczołgałem się zza osłaniających nas drzew, niemal wpadłem na samca pasącego się kilka metrów ode mnie. Kolor jego skóry tak dokładnie zlewał się z otoczeniem, a ja byłem tak zaafekowany osobnikami stojącymi dalej, że zupełnie go nie zauważyłem. Ale wtedy było już za późno. Zwierzę zerwało się z lekkością, jakiej trudno oczekiwać od kilkutonowego olbrzyma. Zamarłem... W pierwszej sekundzie podejrzywałem, że zostanę zmiażdżony. Na szczęście całe stado ruszyło w przeciwnym kierunku. Uciekały. Pod naporem ich ciał grube gałęzie, a nawet pnie drzew pękały jak zapalki. Byliśmy przerażeni. Jeżeli słoń by zaatakował, okoliczne akacje nie byłyby dla mnie żadną osłoną.

Białe plamy

Jedziemy dalej, a auto coraz częściej przygasa. W końcu crashhhh... Biegi przestały wchodzić jakieś 70 km od cywilizacji. Na pustkowiu pomiędzy jedyną w tej części kraju drogą asfaltową, a legendarnym Timbuktu, stanęliśmy na dobre. Oczywiście nie mamy żadnego telefonu i nikt nie wie, że tu jesteśmy. Słońce wypala dziurę w dachu naszego Nissana. Spojrzenie na termometr nie dodaje otuchy – sporo ponad 40 stopni.

Po kilku godzinach zmagania z autem zaczynam myśleć o innych Europejczykach, którzy prawie 200 lat temu podróżowali przez tę dziczy. Ich przygody nie zawsze kończyły się dobrze. W wyobraźni cofam się do początku XIX wieku. Mapa Afryki to zaledwie niedokładny szkic pełen białych plam. Kusi i obiecuje wielką przygodę. W zachodnim świecie krążą legendy o niezwykłych ludziach mieszkających wzdłuż mało znanej rzeki Niger, o karawanach wielbłądów zaginionych pośród piasków pustyni, a nade wszystko o płynącym złocie mieście Timbuktu. Nie dotarł tam jeszcze żaden Europejczyk.

Wspinaczka na jednej z krótszych dróg.



Grobowiec Tellemów.

Podróż jest ryzykowna i niebezpieczna. Na tereny tego nieznanego świata zapuszczają się tylko awanturnicy poszukujący przygody i rządowe ekspedycje w nadziei znalezienia nowych dróg handlowych oraz bogactw naturalnych. Francuski rząd wyznacza nawet nagrodę: 10 000 franków dla śmiałka, który poważy się odnaleźć Timbuktú.

W lipcu 1825 r. brytyjski major Alexander Laing rozpoczyna ekspedycję, która zamierza przemierzyć Saharę. Po ponad rocznej, morderczej wędrówce w sierpniu 1826 r. dociera do Timbuktú, spędza tam 6 tygodni, po czym dołącza do karawany wielbłądów idącej na północ. Dwa dni później na pustyni zostaje napadnięty przez Tuaregów i ugodzony oszczepem w serce.

Niemal dwa lata później Francuz Rene Caillie, syn biednego paryskiego piekarza – skuszony obietnicą nagrody – wyrusza do Timbuktú, jako kolejny Europejczyk. Przygotowuje się do wyprawy przez ponad dziewięć miesięcy. Najpierw, aby móc podawać się za muzułmanina, mieszka z wyznawcami Mahometa nad rzeką Senegal, uczy się arabskiego i poznaje Koran.

W końcu wyrusza przebrany za Tuarega. W marcu odwiedza inne sławne miasto, Djenne, a w kwietniu 1828 r. płynie w dół Nigru i w ciągu sześciu dni staje w Timbuktú. W następnych miesiącach wraca przez pustynię do Francji.

Caillie jest pierwszym, który wrócił żywy i który rozwiął plotki o nieskończonym bogactwie Timbuktú. „Znalazłem tam domy zasypane piachem” – opowiada.



Biwak w ścianie po 10 wyciągu nowej drogi Królestwo Sępa.

Kaga Tondo – najwyższa ściana Sahelu

Na ocienionych ścianach lekki wietrzyk obniża temperaturę i można się wspinać bez problemu. Zaczynamy od kilku powtórzeń. Na pierwszy ogień idzie klasyczno-azerowy klasyk Kaga Tondo *Vuela Usted Manana*, prowadzący nas na sam szczyt 600-metrowej iglicy. Na krawędzi zachodniej ściany wisi gładki 5-metrowy sufit. Wspinaczka po nim sprowadza się do przepinek między spitami, jednak droga jest w większości klasyczna, a przestrzeń wokół niezapomniana. Wyszliśmy na nią za późno, a z braku wiedzy o podejściu (150 m wspinaczki inną drogą), znaleźliśmy się w środku ściany mniej więcej godzinę przed zachodem słońca. O zmroku dochodzimy do wielkiego tarasu, jakieś 100 metrów od szczytu. Szykuje się nieprzewidywany biwak

w krótkich rękawkach, spodenkach (Eliza), nawet bez jednej bluzy. Zaczyna wiać. Robi się chłodno (to właśnie jedna z tych 10-stopniowych nocy), więc z otaczających kamieni budujemy sobie murek. Wypalane codziennym słońcem skały przez pół nocy oddają ciepło. Tulimy się na przemian do nich i do siebie. Mimo to wiatr staje się na tyle nieznośny, że zaczynamy drżeć z zimna. Wtedy Eliza przypomina sobie, że umie szydełkować... Co to ma do rzeczy? Tyle tylko, że mamy ze sobą 120 metrów ultracieniutkiego Tendona, a z niego da się zrobić „kocyk”. Przez 20 minut Eliza przeplata liny, aż w końcu powstaje miniprzykrycie. Nie jest ono specjalnie szczelne, ale połączenie murka, „kocyka”, ciepłych kamieni i zimnych ciał pozwala nam jakoś przetrwać do rana ;-)) O świcie tykamy ostatni orzechowy batonik od Se-Mara i trochę



Prysznic.

wody. W minutę prujemy „kocyk” i wspinamy się na szczyt.

Wspinanie – także na innych drogach – jest bardzo przyjemne, miła w dotyku gładka skała, rysy, w których idealnie siadają friendy. Ściany przecinane, co jakiś czas drobnymi półeczkami, które z jednej strony „niszczą” ciąg, a z drugiej pozwalają na pełen relaks między bulderowymi trudnościami wyciągów.

Na szczyt Kaga Tondo nie prowadzi żadna bezpieczna i banalna droga. A jednak, kiedy w roku 1978 r. wspiął się tu pierwszy zespół zachodnich alpinistów, na samym szczycie znalazł gliniane naczynia i ślady bytności człowieka. Według tubylców Kaga Tondo zostało zdobyte już w XIX wieku przez braci Ousmana i Makiki Zindo, którzy weszli tak wysoko w poszukiwaniu jaj marabutów. Niestety, w drodze zejściowej (co najmniej V UIAA) obaj bracia zginęli. Podczas zjazdów na wysokości ok. 500 metrów natykamy się na zostawiony przez nich (?) zaklinowany drog do ubijania prosa.

Gdy kończymy ostatni zjazd, w oddali zauważamy jakichś ludzi. To ekspedycja ratunkowa. Yaye – syn Salvadora wziął kilku ludzi z wioski i obciążony kilkoma butlami wody ruszył na poszukiwania Polaków. On i jego mama są jedynymi ludźmi w rejonie, którzy wiedzą, gdzie

nas szukać... Z wdzięcznością przyjmujemy od nich wodę i tłumaczymy, że czasami będziemy spać na ścianach i czasem nie wrócimy do wioski nawet przez kilka dni. O ile coś by poszło źle – w ten sposób odcinamy sobie ostatnią możliwość ratunku. Zresztą nawet Yaye wyjeżdża stąd za parę dni (latem mieszka w Hiszpanii). Nikt o zdrowych zmysłach nie jest w stanie wytrzymać nadciągającego żaru lata...

Grobowce wspinaczy

Kolejnym celem naszej podróży jest klif Bandiagara.

W cieniu wielkiej ściany, która ciągnie się przez 150 km i ma wysokość do 400 metrów żyje plemię, które zachowało swoje animistyczne rytuały i bogatą kulturę. Dogonowie.

Choć kraina ta co roku odwiedzana jest przez tysiące turystów, swobodne poruszanie się po wioskach leżących u podnóża skał jest dla białego człowieka niemożliwe.

Dogonowie żyją w świecie magii, duchów i praw nakładanych przez szamanów – Hogonów. Nieświadomy turysta z łatwością mógłby złamać tabu, zdeptać święty ołtarz albo zbezczeszczyć miejsca po-

chówku. Tym samym naraziłby się na śmierć. Nawet nasz przewodnik Amadou, sam pochodzący z ludu Peul, tym razem prosi o pomoc dogońskiego przyjaciela Domo. Mieszkający w miasteczku Sangha jest szanowanym członkiem społeczności. A co najważniejsze zna wodzów wioski. Dobre stosunki ze starszyzną są dla nas jedyną szansą, by dotrzeć do głównego celu tej podróży.

Pionowe ściany Bandiagara usiane są tysiącami małych półeczek i jaskiń. Wysoko, czasem 200 m nad ziemią stoją w nich wieżyczki i kamienne ściany wybudowane przez legendarne ludy Tolloyów i Tellemów. Plemiona te żyły tu od IV wieku p.n.e. do wieku XVI n.e., kiedy to w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęli ostatni Tellemowie. Na ich miejsce przybyli Dogonowie.



Świt nad Kaga Pamari.

Większość zawieszonych wysoko na ścianach konstrukcji to ogromne nekropolie Tellemów. Nie dostępne dla turystów, święte miejsca, do których dotarcie wymaga poważnych wspinaczkowych umiejętności. Umiejscowienie grobowców, z których część nie była odwiedzana od początku naszej ery, jest pożywką dla coraz to nowszych, absolutnie fantastycznych teorii. W jaki sposób, a przede wszystkim, po co Tellemowie wspinali się na skalne ściany? Po co budowali nekropolie na tak dużych wysokościach? Mimo wielu prób, wyczerpujące odpowiedzi na te pytania nie są znane do dziś.

Wizyta w zawieszonych na ścianach grobowcach, to dość karkołomny pomysł. Aby go zrealizować, najpierw musimy przekonać wodzów wioski i dostać ich pozwolenie. Wiemy jednak, że nie będzie to

łatwa sprawa, gdyż wiele ekip, także z dużych stacji TV takiej zgody nie otrzymało.

Bez zezwolenia wszelka eksploracyjna działalność na ziemi Dogonów jest niebezpieczna. Dogonowie żyją z turystów, ale wcale ich nie kochają. Przekonuję się o tym już na samym początku. Któregoś dnia nieopatrznie wybieram się na krótką wycieczkę bez naszego guida.

Podczas fotografowania bydlą przy wodopoju dostaję ostrzeżenie... Kobiety doglądające stada zaczynają rzucać we mnie kamieniami. Próbuję negocjować dalsze zdjęcia, ale odpowiedzią jest gęstniejący grad kamieni. Póki co dolatują tylko pod moje nogi, ale nie czekam aż zaczną latać wyżej... Na szczęście wódz wioski Yaye, Sidiki jest bardziej skłonny do rozmowy. Przy pomocy guidów, przekonujemy



Eliza na biwaku na Kaga Tongo.

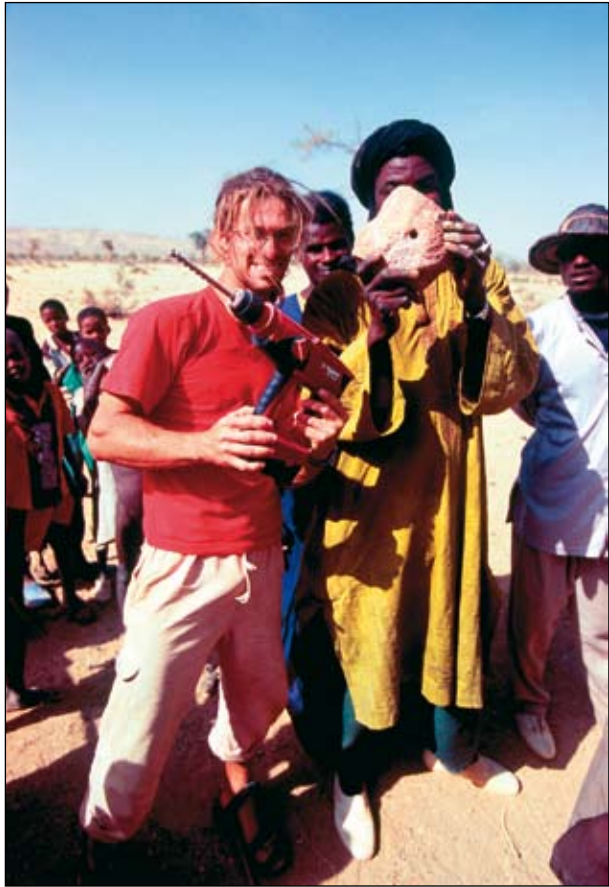
go do siebie szeregiem dyplomatycznych zabiegów przypieczętowanych naszą nowiutką liną połówkową i drobną kwotą.

Sidiki przedstawia nas dwóm wioskowym specjalistom od wspinaczki. Aly i jego pomocnik mają na oko po 40, może około 50 lat i są niezwykle szanowanymi wioskowymi grabarzami. Tylko oni mają prawo penetracji dawnych grobowców i są specjalistami od wysokościowych pogrzebów.

Tradycja chowania zmarłych na ścianach przetrwała bowiem do dziś. Co prawda Dogonowie używają do pochówków tylko niższych partii ściany, nie wchodząc na zajęte przez Telleków wysokości, ale Aly podobno może być naszym przewodnikiem także po „starożytnych” jaskiniach.

Zaczynamy wejście. Najpierw śliski komin przechodzący w zacięcie, potem okapik. Skala jest krucha i śliska, więc obuty w Five Teny z liną przy uprząży mam nadzieję, że gdzieś uda mi się wrzucić frienda... Tymczasem Aly boso i oczywiście bez żadnej asekuracji już macha do mnie z zacięcia 10 m wyżej. Stoi rozparty, używając zupełnie odmiennej od mojej techniki, wspina się twarzą do ekspozycji. Co kilka metrów w szczelinach na dnie zacięcia leżą czaszki...

Dochodzę do obłego, śliskiego trawersu jakieś 20 m nad ziemią. W kruchej szczelinie udaje mi się



Prezentacja możliwości naszego sprzętu.

założyć iluzorycznego frienda. Wiem, że w razie czego i tak nie utrzyma (...), więc cofam się kilka razy do miejsca restowego. Tymczasem Aly zaczyna do mnie schodzić, pytając, czy potrzebuję pomocy... Najwyraźniej nie zauważył, że skala jest krucha i że jesteśmy już kilka metrów na ziemią ;-)).

W końcu przechodzę kolejne 20 m i moi przewodnicy znikają w jakiejś dziurze. Otwór o średnicy 2 m to wejście do jaskini wypełnionej kilkunastoma

szkieletami. Próbuje je fotografować, ale w środku nie ma już dla mnie miejsca, więc jedną ręką trzymam się krawędzi otworu, nogi stoją na małej półeczce, druga ręka stara się ustawić jakoś aparat.

Sesja dość szybko dobiega końca, teraz muszę jakoś zejść. Aby uniknąć delikatnej wspinaczki w dół, chcę zjechać na linie. Szukam możliwości założenia stanowiska, ale ścianki jaskini są kruche, a pomysł zjazdu z zaklinowanego szkieletu to makabryczna fantazja. Moi przewodnicy nie widzą problemu, proponują abym zjeżdżał śmiało, bo oni już trzymają linę. Żeby ją chociaż owinęli wokół ciała, chociaż wokół dłoni, ale nie... oni trzymają 7 mm Tendona, jakby bali się, żeby go nie porwać w lekko zaciśniętych palcach. Już widzę, jak przy byle szarpnięciu, przytarci liną wypuszczają mnie na ziemię.

2 metry w prawo w małym zacięciu leży zaklinowany kawał drewna. Postanawiam zgodzić się na zjazd z „ręcznego” stanowiska, jeżeli tylko założę sobie backup z tej gałęzi...

Nachylam się, żeby przerzucić przez nią taśmę... a krzyk z dołu przerywa pełną napięcia ciszę.

– Nie! Nie dotykaj tego! – O co chodzi, czyżby znowu jakieś tabu?

– To drewno z czasów Tellemów. Na pewno pęknie...

Mimo zdecydowanego sprzeciwu całej wioski, która obserwuje nasze manewry z dołu, udaje mi się przeforsować dodatkowe zabezpieczenie... Może to i dziwne, ale jestem niemal pewny, że żerdź sprzed wieków bez problemu wytrzyma mój ciężar. W końcu stoję na ziemi, grabarze utrzymali mnie bez problemu. Dopiero teraz dochodzi do mnie, że oni trenują wciąganie ciał na linach przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

Następny grobowiec jest bardziej spektakularny. W latach 60 dostał się do niego archeolog z Holandii, szacując, że leży w nim ok. 3000 ludzi. Jaskinia po

brzezi wypełniona jest dwumetrową warstwą kości i była używana przez najstarszych mieszkańców tych okolic, Tolloyów już przed naszą erą. Razem z Elizą zjeżdżamy do niej na linach.

Wrażenie niesamowite, szkielety leżą tu jakby pochowane kilkadziesiąt lat temu, niektóre wciąż w ubraniach z nietkniętymi bransoletami i naszytnikami, w suchym powietrzu Sahelu kości leżące przed nami przetrwały od początku naszej ery.

Skala tej nekropolii robi na nas przerażające wrażenie. Eliza sugeruje jak najszybszy wycof i tylko potrzeba skrupulatnej dokumentacji tego niezwykle miejsca zatrzymuje mnie w środku ok. 1,5 godziny. Potem objuczony aparatami, jak najszybciej łapię linę i wymalpowuję na szczyt. Jak Tolloyowie dostali się do tego miejsca mogą sobie tylko wyobrazić, my zjechaliśmy wzdłuż ściany, a oni mogli opuszczać zmarłych na linach. Ale jak dostawali się na wysokość 200, 300 m na skałach podciętych ogromnymi sufitymi? Zjazd od góry jest niemożliwy, jeżeli się wspinali to zapewne przy pomocy wbijanych w szczeliny – podobnych do używanej przeze mnie – żerdzi, przez które następnie przerzucali liny plecione z włókien baobabu. No chyba że wszyscy umieli wspinąć się podobnie jak Aly – boso i na żywca.

Królestwo Sępa

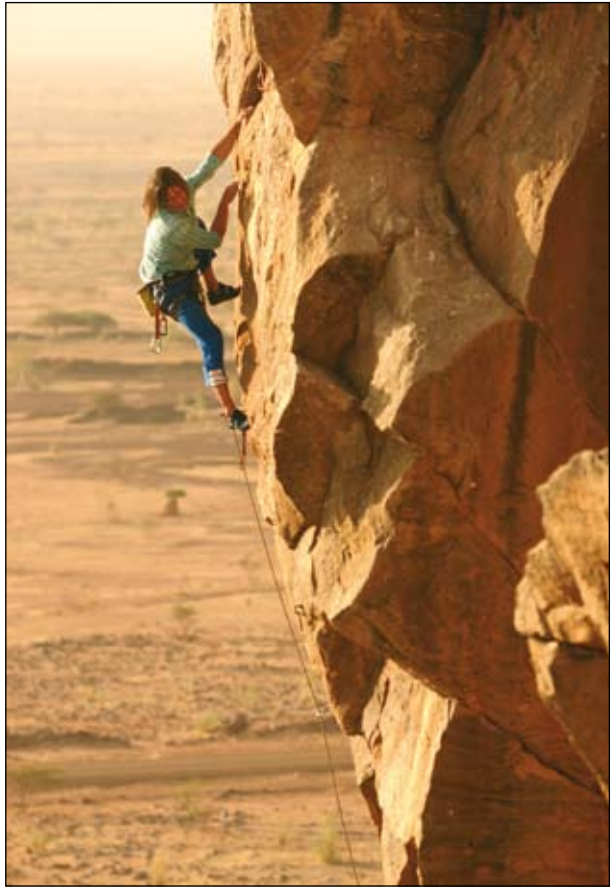
Pośród wszystkich kolorowych przygód naszym najważniejszym celem jest jednak wytyczenie nowej drogi. Chcemy zostawić swój ślad w tej krainie marzeń. Kilka dziewiczych rejonów kusi, ale mamy problem, w ewentualnej bazie na odludnych rejonach nie jesteśmy w stanie zapewnić sobie stałych dostaw wody. Poza tym wynajęcie Land Rovera na jeden dzień to koszt około 300 zł.

W końcu postanawiamy wrócić na kemp w Daari. Największy powierzchnioowo masyw Suri Tondo roz-

pala wyobraźnię. Jak dotąd powtórzyliśmy na nim nową drogę Francuzów „Black Mamba” – 320 m wspinania z bulderowymi wyciągami za 7a+ i dość rzadkimi przelotami bardzo się nam spodobało. Tymczasem na północnej ścianie tej samej góry wytyczono tylko dwie linie po bokach, zostawiając dla nas sam środek. Jeżeli skała jest tak ciekawa jak na Mambie, to będzie super linia, nie wiemy tylko, czy starczy nam sprzętu. W najwyższym miejscu Suri ma bowiem prawie 500 m wysokości.

Wchodzimy w ścianę z koncepcją podobną jak w ostatnich sezonach w Taghii. Jesteśmy tu nie tylko, żeby przejść drogę do wierzchołka, otwieramy nową drogę dla innych. Rejon Ręki Fatimy w sezonie przyciąga coraz większą liczbę wspinaczy, więc mamy nadzieję, że nasza droga będzie przez nich w przyszłości powtarzana. Nie ma co opisywać samego procesu wspinaczki. Wiadomo, czyścimy skałę, zrzucamy glazy, dodatkowo instalujemy jeszcze linie stanowiskjazdowych. Otwieranie nie jest bardzo trudne, liczne półeczki przecinające ścianę sprawiają, że możemy bez trudności prowadzić z wiertarką na plecach, aby na płytach, wisząc na sky hookach osadzać spity.

Jesteśmy z Elizą tylko we dwoje, więc transporty pod ścianę bez żadnej pomocy z zewnątrz wycierają nas poważnie.



David wysoko nad Sahelem.

Za plecami latają wielkie sępy. Wspinając się coraz wyżej, prowadzimy naszą drogę w bezpośrednim sąsiedztwie ich gniazd. Jednak ptaki najwyraźniej nie zwracają na nas uwagi.

Któregoś razu szybujący 5 m od nas sęp odwraca w moim kierunku głowę na dźwięk odpalanej wiertarki. Patrzy się na mnie przez chwilę, po czym wyraźnie znudzony kołuje w kierunku wierzchołka... Nie wiem, jak wiele z tych olbrzymów ma tutaj



gniazda, ale na szczęście udaje nam się nie wejść na żadne z nich, choć i tak czujemy się po trosze intruzami w ich powietrznym świecie.

Zaczynają się piętrzyć kłopoty, a każdy z nich może wymazać nasz plan zdobycia Suri Tondo. Po pierwsze ściana okazuje się tak wielka, że kończy się nasz sprzęt. Brakuje lin i karabinków. Po drugie od tygodnia wieje harmattan – wiatr z Sahary, który niesie tony piasku. Pył ogranicza widoczność do 100 metrów i wciska się do nosa i uszu, powodując bolesne krwawienie. Drobin piasku, dostają się do aparatów fotograficznych, a nawet mojego starannie zamkniętego pojemnika na soczewki kontaktowe. Szarobura chmura zasłania słońce i choć robi się nieco chłodniej, zaczynamy popadać w depresję.

Na ósmym wyciągu w końcu przechodzimy pas okapów, które z bliska nagle zaczynają wydawać się groźne. W ostatnich dniach miałem wrażenie, że niektóre głazy ze środkowego okapu tylko czekały, by na nas polecieć, dlatego z ulgą przechodzimy je po prawej stronie. A jednak na samej krawędzi okapu, na drodze do wspaniałej rysy czeka odstrzelona płyta, która kusi, aby za nią złapać. Jest odcięta pod spodem i na bokach. Na wszelki wypadek nie wpinam jednej liny pod sobą i decyduję się na bulderowe obejście tej super-klamy. Trudności wyciągu z 6c+ wzrastają do 7a+. Cały proces otwierania zajmuje nam sześć dni.

15 marca przechodzimy drogę w ciągu. To najprzyjemniejszy moment. Testowanie linii, którą wymyślił się jest zawsze emocjonującym przeżyciem. Prowadzimy na przemian. Trudniejsze miejsca dro-

gi, np. szósty i siódmy wyciąg, mogą być trochę tajemne (czytaj: bulderowe) dla powtarzających, ale przecież o to w sumie chodzi. Nie może być za łatwo. Pod wieczór przyspieszamy, bo około 18.30 robi się zupełnie ciemno. Mocno zmęczeni, lecz skoncentrowani jak nigdy osiągamy nasz ulubiony stan wspinaczkowy. Na bok idą wszelkie rozterki i fobie, jest tylko płynny ruch. Nieważna asekuracja, nieważne, że boli. Trans... Płyniemy do góry.

P.S: Serdeczne podziękowania dla naszych sponsorów, bez których ten niezwykle kosztowny wyjazd nie doszedłby do skutku. Sponsorem głównym wyprawy była firma Se-Mar. Sponsorzy wspierający: Alvika, Tendon, Five Ten.

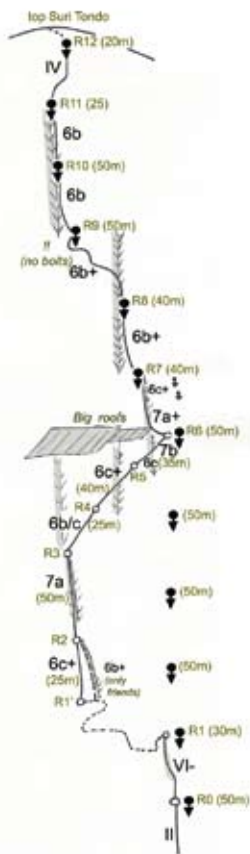
„Królestwo Sępa”, leży na północnej Ścianie Suri Tondo, ma 450 m długości, trudności 7b max.

Suri Tondo, Hand of Fatima massif - Mali north summit, N-E Face

"KRÓLESTWO SĘPA"
("Royaume de Vautour")
450m, 7b max, 6b+oblilg

David Kaszlikowski
Eliza Kubarska

RP 15.03.2006





*Na początku roku
znany słoweński wspinacz*

Marko Prezelj

po raz drugi już w swojej karierze

został wyróżniony prestiżową

nagrodą Złoty Czekan.

Jego ubiegłoroczne wytyczenie

nowej drogi północno-zachodnim

filarem Chomolhari (7314 m),

góry wznoszącej się

na pograniczu Bhutanu i Tybetu

znalazło w oczach Jury

najwięcej uznania.

O swojej ścieżce w góry,

wyprawach, dokonaniach

i zawartych przyjaźniach

Marko opowiada w specjalnym

wywiadzie dla czytelników A/Zero,

którego drugą część

prezentujemy poniżej.

Wywiad przeprowadził: **Artur Paszczak.**
Tłumaczenie: **Iza Figiel.**

A/Zero: Byleś na Spantiku z Manu Pellissierem?

Prezelj: Tak, z Manu Pellissierem, Manu Guy'em i Atillą Ozsvath.

Jak doszło do współpracy Węgra, Słowenka i dwóch Francuzów?

Spotkaliśmy się wcześniej we Francji, trochę rozmawialiśmy. Pomysł podsunął Manu. Przedyskutowaliśmy to potem i jakoś wszystko się ułożyło w całość.

Spotkaliście się w Chamonix podczas wspinania?

Tak, tak, tak.

Tak po prostu? To dość nietypowe: trzy narodowości w jednym teamie. Wcześniej o czymś takim nie słyszałem.

Dla mnie to było pozytywne doświadczenie – działać w międzynarodowej grupie. Pomysł dobrze się sprawdził. Nawet z Rosjanami... W pewnym momencie wyprawy zdarzyła się nam walka na słowa. Oni naprawdę na siłę chcieli zrobić nową drogę, a dla mnie – byłem szczerzy i powiedziałem, że dla mnie styl jest o wiele ważniejszy niż samo przejście. Ale oni naprawdę chcieli sforsować tę drogę.

I wtedy się rozdzieliliście?

Tak, w tym momencie powiedziałem: dobra, nie chcę iść z wami. Idźcie na nową drogę, a my pójdziemy na Złoty Filar, jeśli to będzie możliwe, bo reszta zespołu nie była jeszcze

zdecydowana. Byli Rosjanie, ja, reszta jeszcze nie wybrała. Czekalem: Ok, jeśli nikt nie wybierze mojej opcji, wrócę do domu.

Poważnie?

Tak, oczywiście. Nie poszedłbym z Rosjanami na nową drogę w jakimkolwiek stylu. Dla mnie to było...

Nie do przyjęcia?

Tak. Chcieli zabrać masę sprzętu i w zasadzie tak właśnie w końcu zrobili. Mieli specjalny portaledż przeznaczony dla czterech osób...

Musiał być duży...

Wiesz, czworo ludzi w portaledżu, nie śpią, leżą na plecach z głowami przy ścianie i stopami na zewnątrz.

Naprawdę? Cha, cha!! Musieli być rozczarowani, że nikt do nich nie dołączył.

Nie wiem. To pytanie do nich. Nie, to chyba nie wyglądało tak. Myślę, że wróciliśmy do domu jako przyjaciele. Może nie bliscy przyjaciele, ale po tej ostrej wymianie zdań, więcej poważnych rozmów nie było. Byliśmy dla siebie mili i śmiało się razem.

Kim byli ci Rosjanie?

Mikhail Davy i Alexander Klenov. To dobrzy wspinacze.

Na grani Taulliraju (5830 m). Andy Peruwiańskie 2005 r.
Fot. arch. M. Prezeli.



Muszą być dobrzy, skoro w końcu udało im się przejść tę drogę.

Tak, ale w cieniu pozostaje fakt, że najpierw szli naszym śladem w niższej części filara, gdzie trzeba przecierać szlak w śniegu i szło im naprawdę wolno. Przetarcie szlaku zajęło nam jeden dzień, oni robili to przez dwa dni, a zaczęli tego samego dnia i o tej samej godzinie co my. Dwa dni zajęło im to, co my zrobiliśmy w jeden dzień. Potem przeszli nowy wariant długości 800 metrów i podążali naszym śladem do wierzchołka. Ale najtrudniejszą częścią wspinaczki było przecieranie szlaku do szczytu i później z powrotem. Oni szli za nami. Dla mnie to było nic. Zimą, jeśli szlak jest już przetarty, to jest to zupełnie inne doświadczenie. Nie znam nikogo, kto zboczyłby ze szlaku tylko po to, żeby doświadczyć czegoś nowego. Jest więc naprawdę duża różnica, czy masz przetarty szlak, czy go nie masz. Rosjanie wspinali się po swojej własnej drodze w skałę, a kiedy napotykali śnieg albo mikst...

Szli po śladach?

Dokładnie. To była nasza wina. Szli po szlaku przetartym przez nas. Rzeczywiście, byli bardzo powolni. Przejście zajęło im 14 dni, włączywszy w to podążanie przetartym szlakiem. Kiedy pod koniec zapytałem ich jak poszło...

Przecieranie szlaku?

Nie, to było w porządku. To było trudne dla nas (śmiech). Dla mnie zima robi dużą różnicę. Jeśli był tam szlak albo ślady czekanów, czegokolwiek, to robi dużą różnicę.

**Cóż, tak jest w Tatrach. Jeśli ktoś prze-
trze szlak do jakiejś ściany, wszyscy chcą
iść tym szlakiem.**

Otóż to (śmiech).

A gdzie spotkałeś Stevena Kocha?

Steven Koch, tak. Jest jeszcze jedna osoba, o której muszę wspomnieć. Moim pierwszym partnerem wspinaczkowym spoza Słowenii



był Thierry Schmitter z Francji. Spotkalismy się i pierwszy raz wspinalismy się razem w 1996 roku. On zmienił moją mentalność, sposób myślenia o sobie jako o słabym wspinaczu ze Słowenii. Powiedział i pokazał mi, że mogę wiele zdziałać. Niestety w 1999 roku złamał kręgosłup. Jest sparaliżowany. Byłem naprawdę szczęśliwy, kiedy w zeszłym roku Thierry zdobył brązowy medal w żeglarskim na paraolimpiadzie w Atenach. To świetny człowiek. Dla mnie był to dowód, że on jest naprawdę...

Że próbuje to pokonać.

Tak. Bardzo dobrze nam się razem pracowało, bo nigdy się nie poddawaliśmy. Potem poszedłem na Spantik, a potem był Steven Koch. Pierwszy raz spotkałem go w Szkocji. Uważałem, że jest pozerem i showmanem, bo tak wiele różni go ode mnie. Jesteśmy zupełnymi przeciwieństwami. On lubi, gdy zwraca się na niego uwagę. Nie poznaliśmy się dobrze w Szkocji. Po prostu razem piliśmy w barze, co było nawet zabawne. Potem szukałem kogoś, kto pojechałby ze mną na Alaskę. Wpadłem na pomysł, żeby tam pojechać, nie znalazłem nikogo w Słowenii, więc zapytałem

Christiana Beckwitha (był wtedy redaktorem AAJ, obecnie jest redaktorem Alpinista), czy nie zna kogoś w Ameryce, kto chciałby pojechać ze mną. Zapytał Stevena i następnego dnia dostałem od niego maila, że chciałby jechać ze mną. Powiedziałem: dobra, spróbujmy. Nie spodziewałem się niczego dobrego. Myślałem, że będzie to, z tym facetem, dziwna wyprawa. Ale udało się ona doskonale. Miesiąc świetnej zabawy, głównie ze względu na różnice w charakterach. On jest prawdziwym ekstrawertykiem. Już wcześniej dokonał zjazdu na snowboardzie z Denali kulua-rem Messnera. Został sfilmowany, widziało go wielu ludzi, więc wiele osób znało go już i rozpoznawało, gdy przyszliśmy do bazy. Byłem pod wrażeniem. A jeśli chodzi o wspinanie – skorzystałem na tym, że Steven potrafił załatwić sprawy formalne. Ja byłem nowy na Alasce, a on był tam już wcześniej, więc znał się na formalnościach, które, wiadomo, nie są przyjemne i wszystko zorganizował naprawdę świetnie. Obaj mieliśmy żywność na 14 dni, a po miesiącu,



Na szczycie. Fot. arch. M. Prezelj.

właściwie trzech tygodniach w rejonie Denali, kiedy wyjeżdżaliśmy, nadal mieliśmy żywność na dwa tygodnie. To dlatego, że Steven posiada niezwykle talent do zdobywania jedzenia od ludzi, którzy właśnie wracają ze szczytu. Kupiliśmy zgrzewkę piwa i gdy Steven zobaczył kogoś wracającego ze szczytu (te osoby można było łatwo rozpoznać – schodziły z góry bardzo zmęczone), otwierał puszkę, żeby ta osoba mogła usłyszeć charakterystyczny dźwięk. Zaczynał pić piwo i mimochodem zbliżać się w kierunku tej osoby. Więc pierwszym krokiem Stevena było zwrócenie na siebie uwagi. Potem role się odwracały: osoba schodząca z góry chciała zwrócić uwagę na siebie i pokazać, że jest bardzo spragniona, o czym Steven oczywiście doskonale wiedział

(śmiej). Pytał więc: cześć, skąd wracacie? Ze szczytu. Chcecie piwa? No jasne! Więc Steven podchodził i jego pierwsze pytanie to było: czy zostało wam jakieś jedzenie? Jasne, nie ma problemu, bierz! Mieliśmy więc mnóstwo jedzenia. Był mistrzem w organizowaniu takich rzeczy. Kiedy zaczęliśmy się wspinać, przyznał, że nie oczekiwał, iż będę prowadzącym. Pomyślałem: chodźmy, spróbujmy. Nie chciałem wspinać się w amerykańskim stylu, powiedziałem: spróbujmy naszej własnej wspinaczki. Na Alasce nie ma nocy, więc zrobiliśmy wszystko w jednym podejściu. Nie musieliśmy dźwigać: jeśli robisz drogę w jednej próbie, nie musisz brać spiworów, masz 20 kilo mniej i możesz być szybki.



Steve House w ścianie Hayesh (5721 m). Andy Peruwiańskie 2005 r. Fot. arch. M. Prezeli.

To była twoja trzecia nominacja do Złotego Czekana?

Tak, ale to chyba była ostatnia. Teraz mam pomysł na Złoty Czekan: wyprawa na Cyber-szczyt.

?????

Stworzenie góry w Internecie, cybergóry, ze zdjęciami i może krótkim filmem ze szczytu i wejście tam. Oczywiście góra musi być tak dobrze zrobiona, żeby została nominowana do Złotego Czekana. Nie tylko nominowana – żeby wygrała. I kiedy już tam wejdiesz, mówisz: pier...cie się, to wasza gra, ale moje zasady.

(śmiech) Wracając na chwilę do Alaski: był to sezon 2001, czas, kiedy to duże drogi zostały zrobione w jednej próbie.

Nie.

Nie? To było rok wcześniej?

Mark Twight, Steve House i... nie mogę sobie teraz przypomnieć nazwiska trzeciego [Scott Backes] przeszli Slovak Direct na południowej ścianie Denali w jednej próbie. Jedyne różnica między nimi i nami to było to, że oni zrobili trzecie wejście. Kevin Mahoney i Ben Gilmore przeszli tę drogę trzy tygodnie wcześniej, więc były tam już zrobione jakieś platformy. My robiliśmy nową drogę.

Jakie to było uczucie, zrobić nową drogę na Denail? Jak możesz porównać ją z innymi ścianami?

Zaskoczyło mnie to, że droga była naprawdę długa. Zjechaliśmy z około 4200 m ponad tysiąc metrów do podstawy ściany. Początek był jak zabawa: idziemy wspinać się w mikście. Wcześniej wspinaliśmy się na Mini-Moonflower i Moonflower i to była naprawdę dobra zabawa – przyjemny drytooling, nic ekstremalnego, czego można by się obawiać. Pomyślałem więc: zrobmy coś jeszcze. Ale kiedy zjechaliśmy i gdy spojrzalem w górę, pomyślałem: o-o, to zupełnie inna para kaloszy, strasznie długa ta droga. Potem zaczęliśmy się wspinać.

Zajął wam to 52 godziny?

51 godzin: z obozu na wysokości 4200 zjazd do podstawy ściany, wejście na szczyt i powrót do obozu.

Uważasz, że Denali zasługuje na miano wielkiej ściany?

O, tak! Jest ogromna! Ale muszę zaznaczyć, że trzeba iść na szczyt. Największe trudności kończą się w połowie, może w trzech piątych ściany. Później zaczyna się część najtrudniejsza psychicznie, nie technicznie. Musieliśmy przedzierać się przez śnieg, nie było nikogo oprócz nas, nikt nie wspinał się na Cassin Ridge, do którego doszliśmy później.

Musielście więc iść bez końca?

Tak, wiesz, to naprawdę trudne, nie ze względu na trudności techniczne, ale dlate-

go, że szybko się męczysz, robisz się śpiący, musisz przedzierać się przez śnieg i w zasadzie jest to dość nudne, w porównaniu z tym, co się niedawno zrobiło. To jest właśnie główny problem. Dla mnie to dość głupie, kiedy pytają mnie o stopień trudności drogi. Są oczywiście trudne ruchy, które trzeba wykonać, jeśli chce się przejść trudności techniczne, ale jak ocenić to, kiedy jest się naprawdę zmęczonym, wszędzie pełno śniegu, a twoje ciało nie nadąża za umysłem. Jaką wycenę można temu przypisać? Inni myślą: w porządku, to proste, ale dla mnie ta część była o wiele trudniejsza niż największe trudności techniczne. Pewnie doświadczyłeś czegoś podobnego. Trudny ruch to tylko jeden ruch, więc myślisz: mogę spróbować, najwyżej coś sobie złamię.

Adrenalina pomaga w takiej chwili.

Właśnie. Ale kiedy jesteś naprawdę zmęczony i masz dość wszystkiego, możesz po prostu usiąść i umrzeć. To naprawdę przykre; traci się wolę walki, oto problem. Na ile można więc wycenić brak sił? Dla mnie to główny problem. Większość moich przejść trudnych publicznie (czyli ocenianych pod kątem wyceny, ekspozycji i nastromienia)... Na Spantiku, na przykład, najtrudniejszą częścią było zejście: przetarcie szlaku, znalezienie drogi.

Wyprawa na Masherbrum (7855 m) w 2003 roku.
W tle grupa Biarchedi.
Fot. arch. M. Prezelj.





Andy Peruwiański wyprawa z 2005 roku. Fot. arch. M. Prezelj.

Nawet mimo tego, że to była droga w dół?

Czasem szła w dół, czasem była płaska, a czasem nawet szła do góry. Najpierw biegnie w dół, potem robi się płaska, następnie dochodzi się do brytyjskiej grani zejściowej. Techniczne trudności są tym, co lubimy, po to się wspinamy, ale zejście to już nie jest taka dobra zabawa. Nadaje co prawda smak wyprawie, ale nie jest jej najlepszą częścią.

Tak, to na pewno nie to samo, co zjeżdżać ze szczytu skały.

Dla mnie drogi, które kończą się na kancie ściany, gdzie jest stanowisko zjazdowe – wpinasz linę i po prostu zjeżdżasz, nieważne ile jest zjazdów, 10 czy 100 – to głównie drogi

sportowe. Po prostu zjeżdżasz i nie musisz szukać drogi zejścia, szczególnie jeśli zjazdy są już przygotowane. To zupełnie inne doświadczenie. Ale to tylko moje zdanie. Ludzie, którzy idą w góry, muszą wybrać.

To była zatem droga The Light Traveler. Czy kiedykolwiek wróciłeś na Denali?

Nie. Ale chciałbym.

Myślisz, że kiedyś wrócisz?

Tak, ale, wiesz, na świecie jest tyle interesujących miejsc...

Potem pojechałeś na Nuptse z Barrym Blanchardem i Steve Housem.

I Stevenem Kochem, ale on miał wypadek i wrócił.

Była to poważna próba zdobycia Nuptse, która zakończyła się na wysokości 7300 metrów.

Tak, około.

Czy to dlatego Steve House wyrażał się później tak niepochwlebnie o Babanowie, który był już wcześniej na tej drodze?

Nie, on nie był na tej drodze, tylko w jej górnej części. Myślę, że problem z drogą Babanova leży w stylu jego przejść. Wybiera styl, który może przynieść mu sukces. Poręczał dolny filar, który jest trudny technicznie.

Założył trzy lub cztery stałe punkty asekuracyjne?

Aa, nie chcę poruszać tej sprawy. To był jego wybór. Dla mnie gorsze jest to, że zakładał poręczówki. Ze statymi punktami czy bez, to prawie to samo. Jeśli zaczynasz poręczać, to zupełnie inna sytuacja. Gdy się wspinasz i gdy z jakichś powodów musisz się wycofać, za każdym razem zaczynasz wspinanie od nowa, na całej długości drogi. Gdy zakładasz poręczówki, wspinaczka zaczyna się dopiero od ostatniego zaporęczowanego punktu.

To tak, jakbyś zbudował sobie drogę.

Nie wiem, jak to opisać, ale na pewno nie jest to wspinanie. Używałem poręczówek podczas mojej pierwszej wyprawy. Nie miałem

Autor na szczycie Kangdzendzongi Płd. (8476 m). Karakorum 1991r. Fot.: A. Stremfelj.



wtedy tyle doświadczenia i było to dla mnie coś nowego, ale w środku czułem, że niezupełnie mi to odpowiada.

Gdzie spotkałeś Steve'a House'a?

Na Alasce.

Pojechaliście później na Nuptse. Czy North Twin to był pomysł Steve'a?

Tak, ja chciałem po prostu pojechać w Góry Skaliste, żeby wspiąć się zimą, bo wiele o tym słyszałem. Steve powiedział: „o, tak, powinienes przyjechać”. Wpadł na ten pomysł już wcześniej, jeszcze zanim przyjechałem, ale nic mi o tym nie powiedział.

Byłeś więc jego tajną bronią?

Być może, nie wiem, trzeba jego zapytać. Byłem otwarty na nowe doświadczenia, więc to dużo znaczyło.

Zdaje się, że twoje trzy ostatnie poważne wyprawy odbyłeś razem ze Stevem Housem? Czy jest to współpraca na stałe, czy był to tylko przypadek?

Myślę, że nic nie dzieje się przypadkiem. Odkryliśmy, że mamy podobne podejście i podobne priorytety, szczególnie jeżeli chodzi o styl. Dobrze nam się razem pracuje i świetnie się razem bawimy. Mamy też podobne możliwości. Czasem jeden z nas czuje się lepiej i idzie mu trochę lepiej, czasem jest odwrotnie. Nie rywalizujemy ze sobą. Jedynie, kiedy mamy prowadzić po kilka wyciągów na zmianę (to dobry system, jeśli

chcesz wspinąć się szybciej), obaj chcemy prowadzić więcej wyciągów niż to było wcześniej umówione.

Tak, to lepsze niż stanie na stanowisku.

Oczywiście, zawsze lepiej jest prowadzić wyciąg.

Tak, ale czasami męczysz się psychicznie po trudnym wyciągu, wtedy chcesz mieć chwilę odpoczynku.

Tak, ale przejście trudnego wyciągu zajmuje sporo czasu, nawet jeśli idziesz jako drugi.

Ale masz linę z góry.

Nie zawsze. Zdarzają się na przykład травмы. Oczywiście jesteś zmęczony, kiedy dochodzisz do stanowiska i zaczynasz asekurować, ale do czasu, kiedy przyjdzie partner, zdążysz już odpocząć.

Wspomniałeś wcześniej, że nie podobał ci się styl Rosjan na Jannu. Powiedziałeś, że masz podobne poglądy na temat stylu, co Steve House. On też bardzo krytykował Rosjan. Czy uważasz, że droga nie powinna być zrobiona w ten sposób?

Tak, obaj to krytykowaliśmy, ale on jest człowiekiem bardziej medialnym. Ja mogę krytykować to przed tobą.

Masherbrum (7855 m). Karakorum 2003 rok.
Fot. arch. M. Prezelj.





Rosjanie mogli to przejść tylko w ten sposób. Czy uważasz, że wcale nie powinni się tam wspinać?

To byłaby dziwna odpowiedź, gdybym powiedział, że wcale nie powinni się tam wspinać. Może powinni byli wybrać inną górę.

Co oznacza, że nie powinni byli wspinać się na tę górę.

Nie teraz, nie w tym stylu. Najpierw powinni trochę potrenować, żeby zrobić to w stylu, który jest obecnie do przyjęcia w górach.

Steve House stwierdził nawet, że to nie alpinizm.

Zgadzam się. To był alpinizm w latach pięćdziesiątych, kiedy wytyczano linie jak najbardziej wprost.

Czy uważasz, że poręczowanie jest zupełnie wykluczone?

Cóż, wkraczamy teraz na dość grząski grunt naszej rozmowy.

Tak, robię to celowo

Tak, wiem, oczywiście. Jeśli jest to kwestia przetrwania, nie ma już kwestii stylu. Ale jeśli decydujesz się na to już na początku – poręczowanie nie jest opcją, którą ja bym wybrał. Ludzie, którzy wybierają się w góry, muszą

najpierw zdecydować, co chcą zrobić i jakich doświadczeń oczekują. Jeżeli oczekują uznania w oczach mediów lub sponsorów, w porządku, mogą iść prosto do góry.

A co odpowiadasz ludziom, którzy mówią: Chcę wejść na tę górę, ale jedyny sposób, w jaki mogę to zrobić, to zakładając poręczówki. Nie chcę rozgłosu, chcę to zrobić dla siebie.

Jaki ma to cel, jeśli robią to dla siebie i zakładają poręczówki?

Docierają na szczyt.

I..?

I to wszystko, nieważne, jakim kosztem.

Nieważne, jakim kosztem. W porządku, robią to, nieważne, jakim kosztem, ale ile kosztują liny i cały sprzęt, jaki pozostawiają w ścianie? Kto za to płaci? Jestem pewien, że nie oni z własnych pieniędzy. Czyli muszą być sponsorowani. I oto początek tańca z diabłem. Nie zrobili zatem tego dla siebie. Zwyczajnie w to nie wierzę. Uważam, że powinni pojechać do Szkocji na jakieś dwa tygodnie, żeby poznać tamtejszy stosunek do wspinania. Mogą tam zakładać poręczówki, jeśli to lubią. Albo jakieś krótkie drogi w Rosji. Mogę zrozumieć, że kogoś bawi zakładanie poręczówek, ale to nie brzmi dobrze w relacji ze wspinaczki. Ich leader powiedział, że był to rodzaj wojny aż do ostatniego człowieka. Dokładnie tak. Ja tego nie wymyśliłem, to jego słowa. Dla mnie to nie alpinizm. Podobna sytuacja miała miejsce na zachodniej Makalu. Ludzie

Manu Pellissier podczas wspinaczki na Spantik (7289 m). Karakorum 2000 rok. Fot. arch. M. Prezeli.



umierali podczas wspinaczki, ale nie przestano się wspinać i nadal zakładano poręczówki. Ktoś umarł, weszli na szczyt, umarła druga osoba, więc jest w tym wszystkim czynnik ludzki.

To takie rosyjskie podejście.

Nie, nie, nie powiedziałbym, że to cecha jakiegoś narodu. Nie mogę tylko uwierzyć, że robią to dla czystej przyjemności. Jest w tym coś dziwnego.

To robota, która musi być wykonana.

Tak, ale dlaczego?

Może ci się to nie spodoba, ale to prawda: jest taka słynna wymiana zdań na temat ofiar wojny pomiędzy Churchillem i Stalinem. Churchill powiedział o jednej z operacji wojennych planowanych przez Rosjan: to pochłonie życie wielu ludzi! Na co Stalin odpowiedział: ależ my mamy wielu ludzi. To rodzaj podejścia, którego nie rozumieją ludzie z zachodu, a nawet my sami. Nasza mentalność jest inna. Jesteśmy związani z kulturą zachodu, w której jednostka ma dużą wartość. W kulturze wschodniej jest inaczej.

Na ile więc możesz ocenić swoje życie w górach, jeśli uważasz, że jesteś tylko trybikiem maszyny?

Robisz to dla maszyny.

Co więc czujesz, gdy wracasz do domu?

Czujesz, że osiągnąłeś coś dla grupy. Zrobiłeś coś dla narodu, dla kraju, klubu, miasta. Nie myślisz wtedy: zrobiłem to tylko dla siebie.

Jak więc możesz iść na następną wyprawę, jeśli nie czerpiesz z tego przyjemności?

Znasz historię siedmiu Rosjanek, które zdobyły Pik Lenina? To było w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych.

Nie, nie znam.

Wszystkie siedem, najlepsze rosyjskie alpinistki, weszły na szczyt, co było zupełnym brakiem rozsądku, bo pogoda się pogarszała, złapała je burza, nikt nie mógł im pomóc. Umierały w namiocie, ale miały ze sobą radio. Każda z nich, umierając, mówiła: robię to dla chwały Związku Radzieckiego i towarzysza Stalina! Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że nie żałuję! To dla chwały naszego kraju! Nikt nigdy nie powiedziałby czegoś takiego na zachodzie.

Może masz rację – to inna kultura i inne podejście. Twoje pytanie było zarazem odpowiedzią. Zapytałeś, jakbyś chciał powiedzieć: nie widzisz, że oni nie powinni byli tego robić? Co mogą odpowiedzieć? Mogą robić, co chcą, jeśli są szczerzy w tym, co robią. Ale powiedziałbym, że nie wierzę w ich szczerość, że robią to dla przyjemności.

Wspinaczka na Spantiku (7028 m) na drodze brytyjskiej. Karakorum 2000 rok.
Fot. arch. M. Prezeli.

Bądź więc szczerzy do końca. Jeśli patrzysz na to, co robią, na cały ich plan zdobycia największych ścian świata przez Rosjan, czy to nie jest nacjonalizm, próba pokazania, że Rosjanie są najlepsi?

Tak, ale... czytałem taką historię, napisał ją chyba Mark Synnott w Rock & Ice albo Climbing Magazine o tym rosyjskim podejściu. Lider tej grupy powiedział, że w pewnym momencie znaleźli się w sytuacji bez wyjścia – mieli nie dostawać już pieniędzy na swoje projekty. Ale potem znaleźli ten projekt przejścia wielkich ścian i dostają teraz na to dużo pieniędzy. Próbujesz mi powiedzieć, że oni to robią dla Stalina czy kogoś innego – Putina, dla Rosjan. Oni sami przyznają się amerykańskim dziennikarzom, że robią to dla pieniędzy. To ich sposób na życie. Myślę więc, że dla nich jest to po prostu interes. Amerykanie też robią interes na wspinaniu. Ale Rosjanie na Jannu założyli dużo poręczówek i zostawili jakieś dwie trzecie z nich – masę sprzętu. Jeśli ktoś tam pójdzie, znajdzie tam to wszystko, więc co to za doznanie – idziesz w góry i znajdujesz mnóstwo śmieci. Co wtedy czujesz? Oto dlaczego jestem przeciwny takiemu stylowi.

Nie uważasz, że to zgębienie góry?

Co masz na myśli?

Wymusili na tej górze swoją wolę.

To właśnie próbowałem powiedzieć, ale ty próbowałeś udowodnić, że to był ich własny wybór.

Tylko się z tobą drażniłem.

Jeśli rozmawiamy o tym, co zrobili i jak to zrobili, pytanie, którego nie da się uniknąć, to dlaczego zrobili to w ten sposób. O to trzeba zapytać ich samych. Naprawdę zastanawiam się, dlaczego wybrali takie rozwiązanie i nie znajdują odpowiedzi. Mówili: robimy to, a jakiś Steve House twierdzi, że nie powinniśmy, niech idzie do diabła, my robimy to po swojemu. Rozumiem, robicie to po swojemu, ale dlaczego w ten sposób, skoro tylu ludzi robi to inaczej? Uważam, że takie podejście ogranicza wolność wyboru innym. Jeśli chcesz zdobyć górę, gdzie nie ma żadnych materialnych śladów kogoś, kto był tam przed tobą, masz większą możliwość wyboru. Rosjanie nie zostawili innym żadnego wyboru. Są poręczówki, więc co możesz zrobić? Możesz się wspinać, ale poręczówki nadal tam będą. To jak wspinanie się na własnej asekuracji po obitej drodze. Zakładasz własne przełoty, ale wszędzie dokoła są stałe punkty. Jak się czujesz? Jak idiota, a co najmniej dziwnie.

Pewien człowiek ujął to kiedyś bardzo dobrze. Powiedział, że niekorzystanie ze stałych punktów, to tak, jakby ktoś wyciął chwytty na trudnej drodze i powiedział: nie używaj tych chwytów, jeśli nie chcesz. A co, jeśli Rosjanie zabraliby wszystkie liny i usunęły przełoty?

Ok, tak.

Styl nadal nie byłby wystarczająco dobry.

Co masz na myśli?

Nadal znaczyłoby to, że założyli poręczówki i zrobili drogę.

Tak, ale wtedy uwierzyłbym w ich szczerość. Włożyliby wtedy dużo wysiłku i energii w to, aby zakończyć wspinaczkę. Ponieważ zostawili sprzęt, nie zakończyli wspinaczki, choć oni myślą inaczej. To dość interesujące, że uważają, iż przejście tej ściany w stylu alpejskim jest niemożliwe. To jakby uważali, że nikt nie może być lepszy od nich. To naprawdę głupie. W alpinizmie takie przypadki zdarzały się często. Ktoś mówił: to niemożliwe, ta droga jest nie do przejścia, a po jakimś czasie pojawiał się ktoś inny, kto był w stanie przejść tę drogę, więc co mógł powiedzieć ten pierwszy? Nic, po prostu milczał. Dla mnie znaczy to, że historia niczego Rosjan nie nauczyła.

Marko, jakiego używasz sprzętu?

Nie chcę niczego tu propagować. Używam sprzętu, któremu ufam; nie musi to być sprzęt najwyższej klasy, nowiutkie ubrania i takie rzeczy. Trzy lata temu dostałem pierwszy darmowy sprzęt. Wcześniej sam go kupowałem, więc wybierałem bardziej na wycucie.

Co wybierałeś? Zaczynając od czekanów, obecnie używasz Griveli?

Tak, tak. I jestem z nich bardzo zadowolony.

Taakoon?

Tak. To był mój pierwszy wybór.

Do mikstu?

Nie, do wszystkiego

Ale z ostrzem do mikstu?

Tak, uważam, że obecnie ostrza Grivel są najbardziej uniwersalne. Każde ostrze ma inny kształt i jest zrobiony z innego materiału. Jeśli na przykład używasz Cascade do wspinania w mikście, ostrze się wygnie. Możesz użyć innego czekana, z młotkiem, żeby je wyprostować i będzie działało, nie złamie się. Ale ostrze do mikstu się nie odkształci.

Wspinasz się bez pętli?

Tak, oczywiście, dla mnie z pętlami jest trudniej.

Trudniej? Naprawdę tak uważasz?

Nie, ja tak nie uważam, ja to wiem (śmiech). Ale ty chyba myślisz co innego.

A co powiedziałbyś ludziom, którzy wspinają się z pętlami i nie wierzą, że lepiej jest bez pętli. Powinni spróbować?

Tak. Powinni uwierzyć. Tkwią w sidlach własnych przekonań.

A jakich raków używasz?

Grivel.

Spisują się dobrze?

Miałem chyba trzy różne modele.

Wolisz raki z przednimi zębami poziomymi czy pionowymi?

Z jednym zębem.

Takich używasz w mikście?

Przeważnie.

My uważamy, że jeden ząb jest lepszy do lodu, a dwa do mikstu.

Nie wiem, jaka tu, w Tatrach, jest skala, trudno mi więc ocenić.

Tak, ale to ogólny pogląd.



Dla mnie jeden ząb jest dobry, bo czuję się jakbym był w butach wspinaczkowych. Przód trzyma się dobrze nawet, jeśli przesunę piętę. W przypadku dwóch zębów, kiedy zmieniam położenie pięty, raz jeden ząb jest oparty, raz drugi. Kiedy masz dwa zęby, musisz więcej myśleć – którego z nich należy użyć, który jest istotniejszy. Trzeba zmieniać położenie w zależności od tego, którego zęba chcesz użyć.

Jakie ubrania wybierasz? Wolisz hard shell czy soft shell?

W porównaniu z czasami, kiedy



nałem wspinanie, dzisiejsze materiały to naprawdę kosmiczna technologia. Wszystko, co mam teraz, jest o wiele lepsze i lżejsze niż wtedy. Teraz wolę... ach, soft shell, hard shell – to prawdziwe szaleństwo! (śmiech)

Co miałeś na sobie na przykład na North Twin?

Soft shell z parką.

Puchową?

Nie, syntetyczną.

Zakładałeś ją na stanowiskach?

Początkowo tak. Ale później zakładaliśmy ją nawet podczas wspinaczki. Było naprawdę zimno.

Wkładałeś ją na wierzch, czy pod spód?

Pod spód.

A jaki soft shell nosiłeś?

Patagonia Mix Master. Sprawował się całkiem dobrze.

A na nogi?

Nie pamiętam, miałem jakiś stary model, coś pomiędzy soft shell i hard shell, pierwszą wersję spodni Mix Master z wełną w środku i z nierozciągliwego materiału z wierzchu. Steve miał już wcześniej takie spodnie.

Więc soft shell króluje?

Tak, mógłbym tak powiedzieć. Nie jest to do końca kwestia materiału, ale indywidualnego wyboru. Lubię go, bo jest bardziej rozciągliwy i trwały. Pamiętam, że na początku lat dziewięćdziesiątych popularny był gruby goretex, który sztywniał na zimnie. Czuleś się wtedy jak robot.

Nowy goretex jest całkiem miękki i przyjemny.

Tak, ale nie jest już tak trwały. Teraz jest więcej pieniędzy, sprzęt jest łatwiej dostępny, ale też niszczy się szybciej, bo materiał nie jest taki trwały.

Masz swoje ulubione marki ubrań?

Tak, Patagonia. To była moja ulubiona marka i tę kupowałem. Steve House jest sponsorowany przez Patagonię i trzy lata temu pomógł mi zdobyć pewne ubrania za darmo. Mam też buty Scarpa.

Nie jesteś więc związany żadną umową z Patagonią, po prostu współpracujecie?

Tak, to rodzaj umowy, ale tylko na ubrania, nie pieniądze. Na ograniczoną ilość ubrań.

Nie wykupili cię?

Mogliby. To kwestia sumy, jaką by zaproponowali (śmiech). Mają też zasadę, że nie dają sprzętu za darmo. Dają bon na 1000\$, za który możesz kupić sprzęt Patagonia. Potem możesz kupić więcej, ale już za własne

pieniądze. Myślę, że to dobra polityka. Kiedy byłem młodszy, bardzo chciałem być sponsorowany. Ale teraz widzę, że jeśli masz dwa czekany, po co ci cztery? Nie masz przecież czterech rąk. Dwa wystarczą na rok. Po roku nadal możesz ich używać, jeśli wciąż są dobre. Jeśli nie – poproś sponsora o inne – dla niego to prawie nic. Dają tylko sprzęt, więc jeśli dadzą ci sto czekanów, co z nimi zrobisz? Sprzedasz? Możesz przestać się wspinać i zostać sprzedawcą! Ja mam dwa czekany – dzięki Grivelowi, jedną parę butów – dzięki Scarpie i jeden komplet ubrań – dzięki Patagonii. Dam znać, jeśli będę czegoś potrzebował. Myślę, że nie wymagam więcej, niż są skłonni dać, chyba nawet mniej. Młodzi wspinacze zawsze chcą mieć najnowsze rzeczy. Moje ubrania Patagonii mają dwa lata. Nowe modele nie mają szwów i wyglądają na bardzo nowoczesne, ale sprawdzają się tak samo jak moje dwuletnie.

Koniec końców, nie robi to aż takiej różnicy. Najważniejsze jest to, kto jest w środku.

Tak, musisz wiedzieć, co jest dla ciebie dobre.

Jakiej rady udzieliłbyś młodym wspinaczom? Jesteś dla nich wzorem, niejeden chciałby być taki, jak ty. Co byś im powiedział?

Powiedziałbym, że to bzdura. Nie możesz być taki jak ja, jeśli nie jesteś mną. Powinni sami określić, co i jak chcieliby robić, a przede wszystkim, jak dużo energii są w stanie na to poświęcić. Jeśli biorą wspinanie na

poważnie, poświęcą mu całą energię, tak jak ja. Tego nie można dokonać w krótkim czasie. Masz przed sobą wykaz moich publicznych przejść, ale to nie wszystko, tak naprawdę jest ich o wiele więcej, niektóre z nich są dla mnie dużo ważniejsze, niż te wymienione w wykazie, choć nie znaczą nic dla obserwatorów. Jeśli młodzi wspinacze wiedzą, co chcą robić, powinni to robić. Za dwa lata mogą zmienić zdanie, powiedzieć: już mnie to nie interesuje, chcę spróbować windsurfingu.

Albo gry w szachy.

Czegokolwiek. Jeśli będzie ich to bawiło i interesowało, to najlepsze, co mogą mieć. Mnie nadal bawi wspinanie. Najbardziej interesujące przejścia są wtedy, gdy oczekuję, że będę się dobrze bawił. To wszystko. Zjadała mnie ciekawość na początku, gdy dołączyłem do grona wspinaczy, i tak już zostało. Dlatego wyjechałem ze Słowenii, aby wspiąć się z innymi ludźmi, poznać ich wizję wspinania.

Czy kiedykolwiek wspinałeś się lub planowałeś wspiąć się z zamiarem zdobycia popularności?

Tak, przyznaję, ale to nie był mój główny cel. I zawsze było coś, co się nie udawało. To chyba dlatego, że nie jestem zbyt medialną osobą. Jeśli coś mi się nie podoba, powiem o tym otwarcie. Nie jestem zbyt miły i poprawny politycznie. Jeśli o czymś myślę: to gówno, powiem to głośno; nie będę mówił, że jest brązowe i dziwnie pachnie. Tak, przyznaję, po prawie dziesięciu latach wspinania pragnęłam jakiegoś uznania ze strony mediów

i innych ludzi, ale nie zdobyłem go z powodu mojej osobowości. Tak jak powiedziałem wcześniej: nie możesz być jak ja ani jak nikt inny, musisz znaleźć swoje własne zainteresowania i podążać za nimi.

To dość zabawne, że to mówisz, bo zdawało mi się, że jesteś obecnie jednym z najważniejszych i najbardziej poważanych autorytetów magazynów wspinaczkowych.

Najważniejszych?

Tak, wydaje mi się, że w High Mountain Magazine, który obecnie nazywa się The Climb Magazine, albo w Alpinissime twoje imię jest zawsze wspominane z największym szacunkiem.

Tak, zapracowałem sobie na to, mogę tak powiedzieć.

Powiedziałeś, że nie zdobyłeś uznania.

Tak, wtedy. Ale potem, kiedy poznali mój dorobek wspinaczkowy, zaczęli prosić mnie o jakieś darmowe materiały, o zdjęcia. Powiedziałem im – o, nie, jeśli chcecie je mieć, będziecie musieli za nie zapłacić. To moje życie, moja praca, okażcie temu szacunek albo nie dostaniecie ode mnie żadnych materiałów. To było, kiedy już wiedziałem, że to rodzaj gry, ale jeśli miałem grać, chciałem zachować moją integralność. W pewnym momencie stałem się zbyt uległy, byłem gotowy zaakceptować ich zasady gry.

W zamian za popularność?

Tak. Potem odkryłem, że nie muszę prowadzić tej gry z mediami, bo to zupełnie inny świat. Wielu młodych ludzi miesza te światy: mediów i gór. Media mają swoje zainteresowania, a ja mam swoje – chcę się wspinać, chcę się dobrze bawić w górach. Media są więc sprawą drugorzędną, tylko dodatkiem do wspinania. Jeżeli jesteś aktywny w górach i jeśli media mają szacunek dla tego, o czym mówią, są wiarygodne, wtedy same do ciebie przyjdą. Ale jeśli to ty przychodzisz do nich, wtedy się sprzedajesz i zostaniesz wykorzystany, oni sami oceniają twoją wartość. Taką sytuację miałem ostatnio z pewnym hiszpańskim czasopiśmie. Poprosili mnie o wywiad i zgodziłem się, udzieliłem im kilku krótkich odpowiedzi; nie mam zbyt wiele czasu. Tu, to co innego. Przyjechałem tu na tydzień, żeby spróbować czegoś nowego, więc możemy rozmawiać, to dla mnie przyjemność.

I my, to nie media.

Ale ten człowiek z hiszpańskiego czasopisma zadawał pytania, a pod koniec poprosił mnie o zdjęcia. Powiedziałem, Ok, zdjęcia to inna sprawa. Jestem fotografem, zarabiam w ten sposób (zajmuję się również fotografią przemysłową), więc za zdjęcia musicie zapłacić. Odpowiedział: my nie płacimy za zdjęcia w takich artykułach. Nie dostaniecie więc żadnych zdjęć, powiedziałem. Po tygodniu milczenia odezwali się i powiedzieli: bardzo chcemy opublikować ten artykuł, jest naprawdę interesujący. Będziesz więc pierwszą osobą, której zapłacimy za zdjęcia. To element gry. Postanowiłem, że nie będę dawał

czasopismom zdjęć za darmo. Mają przecież pieniądze na papier, na druk, dla grafików i autorów artykułów, ale nie na zdjęcia. Co to za czasopismo? Jaki szacunek mają dla wspinaczy? Przychodzą i mówią: pomożemy ci zdobyć uznanie. A co ja odpowiadam? Pier...cie się, nie potrzebuję was, żeby zdobyć uznanie za to, co robię. Próbuję zrobić na mnie dobry interes, ale ja nie jestem jakimś

dywanem na azjatyckim targu. Sprzedają moje wspinanie, ale nie chcą dzielić się tym ze mną.

A: I my cię, Marko, nie sprzedamy, bo A/Zero jest za darmo! Bardzo ci dziękuję za wywiad i życzę wielu sukcesów w przyszłości.



Marko na nowej drodze Light Traveler na Denali. Alaska 2001 rok. Fot. S. Koch.

Obóz letni w Val Masino

Artur Paszczak

Zbyszek Skierski na przedostatnim wyciągu drogi Vinci. Pizzo Cengalo. Fot. A. Paszczak.

Ojcem chrestnym pomysłu spędzenia dwóch tygodni w uroczej dolinie Masino był oczywiście Chmiel, który dokonał rekonesansu tejże doliny wraz z Myszą rok wcześniej. W czerwcu, bezpośrednio przed obozem, jeszcze raz ją odwiedził w towarzystwie Pawła Strzeleckiego, Marka Librona i naszego naczelnego Wilana.

Mieliśmy zatem teren przygotowany i dobrze rozpoznany. Bazę założyliśmy 23 lipca w Val di Mello, na kempingu Sasso Remeno, gdzie przyjmowano nas bardzo gościnnie, a serwowana przez właścicieli specjalna wysokogórska nalewka („dżenepii”) zaskarbiła sobie nasze szczególne uznanie.

Celem pierwszego wyjścia w góry była dolina Porcelizzo, ze schroniskiem Gianetti, należącym do rodziny

ny Fiorelli (nb. połowa dróg w dolinie także została otwarta przez słynnego przewodnika Giulio Fiorelli). Prawie 4-godzinne podejście nieźle dało wszystkim w kość, szczególnie tym z własną aprowizacją. Zakwaterowano nas – kilkanaście osób – w winter-raumie – a piękna pogoda pozwoliła na natychmiastowe podjęcie działalności. Okoliczne szczyty – Badile, Cengalo, Torelli, Sertori oraz charakterystyczna igła Vecchi oferują wspaniałe wspinaczki we wszystkich stopniach trudności, każdy mógł więc wybrać coś dla siebie. Najciekawszymi przejściami były: pokonanie drogi Molteni V+, 450m, przez Jarka Bańkę i Mikołaja Hotówkę (bez wyjścia na wierzchołek, odwrót w załamaniu pogody drogą normalną), drogi Vinci Integrale na Cengalo VI, 500m, przez niżej podpisanego i Zbyszka Skierskiego oraz drogi Marimonti IV+, 450m przez zespół szkoleniowy pod wodzą Dudusia Dutkiewicza (z Michałem Wachowskim i Aśką Pawelczak), zakończonego burzą, kiblem i akcją helikopterową.

Po zejściu w gościnne skały Val di Mello po kilku dniach udaliśmy się do Val di Zocca (jeszcze dłuższe podejście!), gdzie w schronisku Allievi-Bonacossa przywitała nas pracująca tam od kilku sezonów koleżanka z Polski. Pogoda tym razem nie rozpieszczała – tylko mnie w to-



warzystwie Alicji i Zbyszka Skierskiego udało się przejść coś większego wykorzystując małe okienko pogodowe – mianowicie klasyka doliny – filar Gervasuttiego na Punta Allievi, V+, 600m. Po naszym powrocie pogoda zupełnie się zepsuła i pozostałym obozowiczom nie pozostało nic innego jak ewakuować się na dół.

W tak zwanym międzyczasie grupa uderzeniowa Ziomek i Kacper Wirscy oraz Bogdan i Jacek Ciborscy zaatakowali najwyższy szczyt rejonu – Monte Disgrazia. Osiągnął go tylko drugi z zespołów, z powodu nieewidentnej pogody.

Spory zestaw ciekawych dróg zgromadzili Bożena i Edek Wojtaszkowie, którzy konsekwentnie eksplorowali ściany Val di Mello. Równie zadowoleni

byli nasi koledzy bulderowcy pod wodzą Jankesa, dzięki którym dowiedzieliśmy się, że – wg Włochów przynajmniej – buldering narodził się właśnie na głazach doliny Mello.

Obóz przebiegł pod znakiem zmiennej pogody ale doskonałej atmosfery, co zresztą należy już do tradycji. Dolina Masino ujęła nas swą wspaniałą atmosferą i niebywałymi możliwościami wspinaczkowymi, od skałek, przez wielowyciągówki doliny Mello, do górskich wypraw w wyższych dolinach. Warto dodać, że i zwolennicy hakówki znaleźliby słuszne zajęcie w zerwach Monte Qualido. Jeśli dodać do tego lokalne wino i pizzę, to Valmasino zaczyna się jawić jako niemal ideał.

Nie jest zatem wykluczone, że ujrzy nas obóz ponownie.



Kamping Sasso Remeno, nasza baza wypadowa. Fot A. Paszczak.



Jak się nie wspinać szybciej i bezpieczniej – zastosowanie praktyczne

Michał Wachowski



Tego ranka wydobyliśmy się z Nautilusa trochę wcześniej. W końcu nastąpił ten dzień: po wielu litrach miejscowego wina i niesamowicie nużącym podejściu mieliśmy zdobyć mitycznego Badyła. Dnia poprzedniego cel w postaci drogi Via Molteni został pod wpływem prezesa zmieniony na filar Punta Sertori – przyjemny ośmiowyciągowy pasaż, wyprowadzający na grań, którą można dojść do wierzchołka Piz Badile. W porównaniu do poprzedniego celu, ten był mniej wymagający, jednak na rozgrzewkę w sam raz.

Wielka alpejska przygoda rozpoczęła się! Godzina dziewiąta, wychodzimy z Gianetti, słońce w pełni, a więc tym razem komórka prezesa nie kłamała. Przed nami wspinały dzień bez ani jednej chmurki.

Pierwsze trudności napotykałyśmy już na podejściu: stado agresywnych owiec próbuje nas molestować. Urokowi Dudusia również nie mogą się oprzeć. Jednak Duduś, jako doświadczony człowiek gór, radzi sobie z napastnikami błyskawicznie. Szkoda tylko, że jego zamaszyste, jednostajne ruchy odczytujemy jednoznacznie jako znak, że pod ścianę należy podchodzić z drugiej strony.

W końcu znajdujemy się pod ścianą. Znalezienie wejścia w drogę na podstawie reklamowanego przez Prezesa przewodnika nie było łatwe, ale trudności wyniknęły głównie z braku naszego obycia z alpejską, a szczególnie włoską literaturą tego typu. A więc żółtodzioby już prawie spieprzył sprawę, ale ośmiowyciągową drogę – spokojnie zdążyć złożyć. Do roboty!

Pierwszy wyciąg, stan i dajemy dalej. Dobra, ale zaraz, w którą stronę? Miał być filar, a tu widać tylko pionową łąkę. No cóż, po chwili namysłu ruszam przed siebie. Mokre trawy nie sprzyjają szybkiemu przemieszczaniu się, co więcej – wymuszają asekurację, która w pewnym momencie o mało co bardzo by się przydała. Urabiamy w tych trawnikach cztery wyciągi i w końcu dochodzimy do miejsca, które zaczyna przypominać filar. Niestety, schemat nadal się nie zgadza. Po kolejnych dwóch wyciągach w pięknej alpejskiej scenerii spostrzegamy Prezesa, który radośnie nas pozdrawia. Później okazało się, że krzyczał byśmy spieprzali, bo idzie niezła dupowa. Jako że znajdujemy się w miejscu, z którego nie widać nadciągającej nawałnicy, radośnie kontynuujemy wspinaczkę.

Moja partnerka odmówiła prowadzenia, jednakże nie daruje sobie częstego pokrzykiwania w stylu: „no szybciej, wybieraj żesz!!”. Po kilkunastu wyciągach Duduś stwierdza, że jesteśmy prawdopodobnie w jednej trzeciej drogi, ponadto dodaje, że stanowiska robię w niewygodnych miejscach, tak że nie można zapalić pecika. Jestem już zmęczony, dosyć tego, muszę zjeść snickersa, co jest w tym momencie oczywiście nie na miejscu. Ale ja prowadzę i ja teraz muszę zjeść snickersa!

Duduś obczaja teren. Możliwości wycofu są kiepskie, niebo nie wróży dobrej pogody, ale okazuje się, iż zostało już tylko parę wyciągów do grani. Podchodzimy pod sam szczyt Punta Sertori. Widzimy wierzchołek i widniejącą na nim figurkę Matki Boskiej. Duduś zapala pecika i stwierdza, że pogoda się psuje, trzeba spierdalać.

Wspinaczka na grani Punta Sertori.
Fot. J. Ciborski.



Jeszcze nie nerwowo... Burza dopiero się zbliża. Duduś i Michał na stanie. Fot arch. M. Wachowski.

Niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, niektóre z nich przemieszczają się prosto na nas. Zjeżdżam pośpiesznie na długość liny, trawersuję i widzę kruchą grań. W oddali widać Nordkant i Szwajcarię w słońcu. Moi towarzysze dochodzą do mnie.

– Dobra, to wy się tu asekurujcie, a ja pójde przodem poszukać czegoś. W końcu musi tu być gdzieś ten blok zjazdowy, o którym mówili Bogdan z Ziomkiem.

Jesteśmy w chmurze, nic nie widać, powietrze ma przedziwny zapach, czuć jak włoski stają dęba. Dudusia nie ma, a Pszczole ciągle zaczepia się o coś lina. Ostatecznie musi się cofnąć, zejść niżej i ją odczepić. Odstępy między grzmotami są coraz krótsze, dobrze, że przynajmniej nie pada, ale i tak czuć wilgoć w powietrzu. Właściwie to trzeba by olać tę asekura-

cję, bo za bardzo to wszystko przedłuża, ale w takiej mgle może się to źle skończyć. Dobra, tam musi być przełączka, za którą zniknął Duduś. Pszczola przerażona chce iść pierwsza, nie chce stać w miejscu. W końcu dochodzi na przełączkę.

– Możesz iść – słyszę i popieprzam, ile sił w nogach. Pada już rzęsy deszcz z gradem. Grzmoty są niesamowicie blisko. Oślepiony błyskawicą biegnę w dół po poręczówce, ślizgając się na mokrej skale. Gdy dochodzę do końca, moi towarzysze już zajmują miejsca w norkach, które szczęśliwie wyszukał Duduś. Norki są dokładnie trzy: dwie obok siebie i trzecia niżej.

Punta Sertori na tle mitycznej, wschodniej Badila.
Fot. A. Paszczak.





Siekiera dziękuje ratownikowi Soccorso Alpino za odstawienie „Dzieci” do domu. Fot M. Hotówko.

Mnie przypadła ta najniżej, ale wydała mi się na tyle licha, że postanawiam wpakować się do norki Pszczoly. Obserwujemy wspinały widok, jaki rozgrywa się na ścianie Badyła (ścianie, którą mieliśmy zjeżdżać). Cała zamieniła się w jeden olbrzymi wodospad. Woda spada wraz z kamieniami na ogromnej powierzchni, wieloma różnymi strużkami, które zlewają się w całość z niezwykłą dynamiką. Ta szybkość i ten dźwięk potęgowany błyskawicami, które dokładnie oświetlają to przedstawienie, są niesamowitym, jedynym w swoim rodzaju przeżyciem. Ale nikt z nas się tym wówczas nie zachwycał, każdy z nas myśli o tym samym. W końcu nie wytrzymuję i pytam Dudusia:

– Ale chyba w nas nie pierdolnie, co?

– No, nie wiadomo. – odpowiada Duduś, podnosząc mnie na duchu.

Gdy nawałnica na chwilę odpuszcza, zaczynam porządkować kamienie na naszej półeczce. Zjadamy suszone owoce i tak oczekujemy ranka. Burza po krótkiej przerwie powraca, jesteśmy cali przemoczeni. Duduś zasypia, a nawet chyba śpi na dobre, bo zaczął chrapać. W pewnym momencie budzi się i spokojnie stwierdza, iż przez środek jego norki płynie strumyczek. Duduś leży na linie w kałuży wody, która jest zasilana owym strumyczkiem i stwierdza, że właściwie nie czuje zimna, tylko trochę mu łydki marzną. Po chwili dodaje, że dry-cover w naszej linie nie działa, bo czuje wilgoć. Na szczęście po paru godzinach burza ustaje. Duduś chrapie. My, jako że jesteśmy przemoczeni, wolimy stać, aby mokre ubrania nas tak nie oblepiały. Nagle na dole dostrzegamy kilkanaście światełek, o czym informujemy Dudusia.

Świecimy im sześć razy na minutę, żeby wiedzieli gdzie jesteśmy. Świąteczka zbliżają się coraz bardziej i nagle słyszymy głos Artura. To dodaje nam otuchy.

– Krzyknijcie, że u nas wszystko OK i żeby wezwali helikopter rano – mówi Duduś.

Mimo że my słyszymy Prezesa i Zbyszka bardzo wyraźnie, oni nie mogą zrozumieć, co krzyczymy. W końcu odchodzą. Schronisko wydaje się być tak blisko, wyraźnie widać światła, a jednocześnie jest takie nieosiągalne. „Nic to – myślę – w końcu musiało się to stać. Pierwszy kibek i przynajmniej w tak wspaniałej scenerii”. Świt przychodzi bardzo powoli. W końcu szarzej.

– To co, schodzimy? – pyta Pszczoła.

– No, nie wiem – odpowiada Duduś.

Gramolimy się wyżej na półkę ponad naszymi norkami. Widzę, że koordynacja

Pszczoły jest w opłakanym stanie, a przecież nic nie piła, więc musi to być efekt wyziębienia. Na górze Pszczoła stwierdza, że jakoś tak nieswojo się czuje, wzywając helikopter. Duduś mówi, że czuje to samo. Ja próbuję się dodzwonić do miejscowych służb ratowniczych. Niestety, bez rezultatu.

– *Non capisco, non capisco* – słyszę tylko. Po dwóch godzinach jesteśmy już przy schronisku.

Droga, którą zrobiliśmy to Via Mari-monti i polecam ją wszystkim, jako drogę poglądową na całą okolicę. Niestety, o zejściu nie mogę nic napisać, ale podobno gdzieś pod przełęczą jest blok zjazdowy z zieloną taśmą Bogdana.

Obecnie z niecierpliwością wyczekuję obozu zimowego. Pierwszy zimowy kibek? Tym razem zabiorę NRCtę!



Przywieźli i jeszcze w rączki nachuchali. Fot J. Ciborski.

„Akcja na Sertori”

ARTUR PASZCZAK



Dopijaliśmy drugi, a może trzeci litr wina po zakończonym właśnie średnio-smacznym obiadku za 30 euro. Pal to sześć – ale humory dopisywały. Za oknami lały się szare strugi deszczu, które – z racji ciemności – bardziej słyszeliśmy, niż widzieliśmy. Pierwszy atak burzy zdążył się już wyładować w artyleryjskim przygotowaniu strzelających błyskawic.

– No, to Dzieci poznają smak górskiej przygody – zarechotał Siekiera, i w celu podkreślenia powagi sytuacji dodał – kurwa!

– Heeeee, he he he – szczerza wesołość panowała wokół stołu, a śmiało się nawet dwóch Austriaków, co to z nami wspólnie popijali włoskie alkohole. Zabawa trwała w najlepsze, a świadomość że Duduś i jego „Dzieci” kiblują gdzieś teraz w dupowie, wprowadzała nas wszystkich w doskonały nastrój.

Austriak, jakiś „rescue man” spod Grossglocknera, kończył właśnie opowieść o Pepiku, który gruchnął osiem dych na rynnę Palaviciniego, urwał linę – a właściwie sznurek, bo używał repa 5mm – i przeleciał się kilkaset metrów do podstawy ściany. Austriacy szli po trupa, a tu nagle widzą, że trup pierzcha jak kozica, bo – jak się potem okazało – nie ma ubezpieczenia. Wszyscyśmy się uśmiali jak koń z chłopa i dalej opowiadać, ile kto rypnął i jakie to było fajne.

Na to wszystko wszedł (chyba) Mikołaj i oświadczył:

– Ktoś miga na Sertori.

Zapadła cisza. Ktoś – cholera jasna, przecież wiadomo kto. Na Sertori nie urządzi się gwiazdzistych złotów.

– Duduś? – zapytano z głupia frant, po czym wszyscy wylegli przed schron.

Łało jak z cebra, a ciemności włoskiej nocy nie rozpraszał ani lumen światła.

– Nic nie widzę – powiedziałem.

– Trzeba poczekać, powtarzają co parę minut...

Siekiera i ja wspinaliśmy się tego dnia filarem Vinci na Cengalo. Samą kwintesencją tego, co można nazwać plaisir d'escalade. Wśród zachwytych towarzyszących każdej długości liny, spoglądaliśmy od czasu do czasu na sąsiadujący filar Punta Sertori. Dobiegały stamtąd jakieś wrzaski, słychać było Dudusia, natomiast ludzkie figurki nie poruszały się prawie wcale.

– Ty – zagadnąłem Siekierę – przecież oni tego nie skończą! Mają jeszcze od cholery do góry!

– Mówiłem mu – odrzekł Siekiera, nie przerywając szpejenia – a on mi na to, że to siedem wyciągów. Jak my sami tu zrobiliśmyile?

– ...dwanaście

– No właśnie, dwanaście – i celem podkreślenia powagi dodał – kurwa!

Tymczasem napływać zaczęły mgielki, jakieś chmurki, słoneczny do tej pory dzień wyraźnie zmierzał w kierunku przesilenia.

– Spieprzajmy stąd Zbychu – wyraziłem swe obawy – za godzinę będzie łało.

Ale jednak nie lunęło i spokojnie ukończyliśmy drogę. Gdy ok. 16-tej zjechaliśmy pod ścianę, niebo ponownie się rozpogodziło, a my zdecydowaliśmy się na jeszcze jedną, 3-wyciągową wspinaczkę na jakimś kamieniu. Piękne to było, wspaniałe rajbungi, toteż w prawdziwie szampańskich

humorach wróciliśmy do schronu. Punkt siódma, idealnie na obiad. Wraz ze schyłkiem dnia ze wschodu zaczęły płynąć sine obłoki, ale my martwiliśmy się już tylko kwestią ilości wina do obiadu.

– Pięć, sześć, siedem – skandował nasz mały tłumek.

– Siedem. Po cholerę siedem?

Staliśmy na zimnym ganku, starając się ogarnąć jasną z pozoru sytuację.

– Migają, żeby dać znać, że żyją, dlatego siedem – ktoś podsunął.

– Popieprzyło im się, chcieli sześć, źle policzyli – protestował chyba Jarek.

Kolejna porcja mignięć rozwiała wątpliwości – znowu siedem. Co jest, do diabła?

Wśród rozlicznych hipotez, że migają na szczęście (wiadomo – siedem szczęśliwa liczba), że popsuka im się czołówka, że migają z nudów, że siedem coś znaczy, a my nie wiemy co, bośmy nie przeszkoleni i żeby zadzwonić do TOPR, w końcu przeważała moja wersja:

– Migają, że żyją. Jest z nimi Duduś, gdyby chcieli pomocy, to by zadzwonili, albo migali normalnie. Przecież Dzieci są świeżo po kursie, więc wiedzą, że alarm to sześć.

Wsparł mnie Ziomek, i tak pocieszeni wróciliśmy do spożywania wina. Na dworze pioruny waliły z przerwami sześć na minutę, a deszcz lał bez przerwy.

Pech chciał, że przy stole obok biesiadowała grupa młodych cyborgów z Chasseurs Alpins, przebywający na zgrupowaniu kondycyjnym pod opieką sympatycznego guida z ENSY. Migające światełko nie umknęło ich uwagi i wkrótce wybuchła wśród nich

gorączkowa krzątanina. Wychodzili i wchodzili, coś tam gadali, a z ich podnieconych tyrad dochodziły mnie jakieś skrawki w rodzaju – „pomoc”, „natychmiast”, „wypadek” i „akcja”. Zaczynałem wietrzyć problemy, bo coraz natarczywiej spoglądali w naszą stronę, aż chciało się zapytać: „czego?”.

W końcu jeden z nich obciągnął swój sweterek i pomaszerował do nas.

– Czi to wasze psijaciele na Sertori – tak to z grubsza brzmiało w transkrypcji z angielsko-francuskiego.

– Nasze – odparłem hardo – a bo co? („he he he” rozległo się wokół stołu)

– Bo może cieba je ratować? Światło miga – jest wypadek.

– Noo, tego... – zacząłem, ale wtedy do dyskusji włączył się gid z Ensy, który po angielsku mówił już całkiem płynnie:

– Uważamy, że trzeba zacząć akcję, skoro migają, to widocznie coś się stało.

Prostota tego rozumowania nie dawała się podważyć. Na trzeźwo, to może nawet bym coś wymyślił elokwentnego (np. że w Polsce to my tak sobie dla jaj migamy i za bojadom nic do tego), ale w zaistniałej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak grać na spokoj:

– Panujemy nad sytuacją. Tam w górze jest bardzo doświadczony instruktor.

Gorzej pałać nie mogłem.

Franol natychmiast wpadł w stan autentycznej paniki.

– Ajaj – złapał się za głowę – w takim razie musimy natychmiast ruszać, skoro to jest ktoś bardzo doświadczony i miga, to znaczy że stało się coś strasznego. Zwołałam moich chłopaków! – i popędził jak ekspres TGV relacji Geneva – Lyon.



Manu i jego kumpel z Alpejskich Szaserów. Fot. arch. J. Ciborski.

Przy naszym stole zapadła kłopotliwa cisza, a siedem spojrzeń powędrowało w moim kierunku. Wziętem głęboki oddech:

– Siekiera, co radzisz?

Siekiera skrzywił się, w charakterystyczny sposób wznosząc ręce.

- Nie może tak być – powiedział – żeby Franole nas wyręczali w naszej akcji.

I celem podkreślenia powagi dodał: wszyscy wiedzą co.

Dodał: „kurwa”.

Przez następną godzinę trwały gorące rokowania z Franolami, żeby sobie dali spokój, ale ci za cholerę nie chcieli zrezygnować ze wspaniałej perspektywy nocnej akcji w strugach deszczu w nieznanym sobie terenie. Najwyraźniej chcieli się od-

wdzięczyć za Napoleona i nic ich nie mogło od tego odwieść. Chłopaki powyciągali już swe gigantyczne wory, do których zaczęli ładować dwulitrowe termosy, stopy ubrań, a nawet koce i kurtki puchowe, o 100 m liny poręczowej nie wspominając. Nasza argumentacja, że Dzieci migają dla uspokojenia w ogóle ich nie przekonywała, wręcz przeciwnie, zdawała się jeszcze utwierdzać w przeświadczeniu o mającym miejsce nie-szczęściu. Manolo, jak zwał się gid z Ensy (i jakiegoś EMHM na dodatek), wykladał to całkiem rozsądnie:

– Słuchaj, tam musiał być wypadek. Skoro on jest doświadczony i miga, to znaczy, że potrzebuje pomocy. Skoro to nie on miga, to znaczy, że to on sam miał wypadek, a wtedy Dzieci zostały same i jest jeszcze



„Dzieci” i Duduś przed Winterraumem. Fot. A. Paszczak.

gorzej. Zgodzisz się?

Jasny gwint – zgadzałem się. Po kilku minutach przekonał mnie kompletnie. Uwierzyłem w hipotezę wypadku bez zastrzeżeń i stan podenerwowania udzielił mi się całkowicie.

Nie pomogły tłumaczenia Ziomka, że droga normalna na Sertori jest bardziej zawikłana niż zejście z Mięgusza, że jest płytowa i nocą w deszczu możemy sobie tam

co najwyżej potrenować kanioning. Powszechnie przeświadczenie o dziejącym się właśnie tam, w górze, górskim dramacie udzieliło się już wszystkim. Jak żywe stały mi przed oczami widma tragedii z górskiej literatury.

Gorączkowe narady w naszym zespole wykrystalizowały plan działania – jak tylko przestanie padać, bierzemy podręczny szpej i ruszamy pod ścianę, aby nawiązać kontakt głosowy. Bierzemy jedno radio Franoli. Po ocenieniu sytuacji albo odwołujemy wszystko, albo wzywamy ich do siebie i zaczynamy akcję ratunkową. Franole – baaaardzo niechętnie – ale na plan nasz przystali. Jeśli chodzi o plany – byliśmy górą.

Do grupy Szturmowej wyznaczyłem sam siebie, Siekierę oraz Ziomka, bo jako jedyny znał teren.

O wpół do drugiej deszcz

zelzał i ruszyliśmy, zostawiając za sobą sprężonych Franciszków z ich gigantycznymi worami.

Po ok. 40 minutach szalonego marszu jako pierwszy dotarłem pod ścianę. Przez całą drogę Siekiera opieprzał mnie z góry na dół, że za szybko idę i się zaraz w ćmoku pogubimy, ale ja nie mogłem powstrzymać nóg. Gonitwa myśli pędziła mnie w górę

niczym bat poganiacza. Czarne scenariusze kłębiły mi się pod czaszką, widziałem już Dudusia na marach i wszystkie straszne rzeczy z tym związane. Pot zalewał mi oczy, płuca świszczały jak miechy i w końcu – gdy już dotarłem na miejsce – nie byłem w stanie nic z siebie wyrzeźbić.

– Duuuuduś! – wyrzycałem w końcu, lecz szum wodosпадów skutecznie zagłuszał mój wrzask. Doszedł wkurzony Siekiera, a ja popędziłem dalej, bliżej ściany. Gdy spojrzałem w dół, ze zdziwieniem zobaczyłem sześć światełek pędzących jak ekspres TGV relacji Geneva – Lyon prościutko w naszą stronę. Nie muszę chyba dodawać, że był to zwarty oddział Szaserów prowadzony przez pułkownika Manolo, szarżujący niczym kirasjerzy dowodzeni przez Neya pod Waterloo.

– No nie – jęknąłem tylko i pognałem w górę.

Kolejny okrzyk wywołał wreszcie w ścianie jakąś krzątanię.

– Cooo? – doszło mnie słabo

– OK?! – wyrzycałem

– Taaaaak...

– Czy-potrzebujesz-pomocy?!

– Nieeee...

– To po cholerę migasz!!?

– Cooo?

– Gówno! Po co mi-gaaaaasz?

– Tak się nigdy nie dogadasz – skarcił mnie Siekiera, który się znowu pojawił obok mnie, tym razem z Ziomekiem – krótko gadaj.

– Czy-chceesz-pomooooocy?

– Nieeee!

– Kibluuuujesz?!

– Taaaaak...

I o co tu w dupę chodzi? Żaden z nas nie rozumiał przebiegu wydarzeń, a tu, co gorsza, zmateriałizował się przy nas cały skład ekspresu TGV. I to zarówno osobowy, jak i towarowy. Albo raczej Ney z kirasjerami i z taborami.

– I co? – padło.

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

– Wygląda na to – zacząłem w końcu – że nic się nie stało.

Kirasjerom szczęki poopadały na piargi. Ni mniej ni więcej, moje oświadczenie brzmiało przecież: „Panowie, nic tu po Was, jest tak jak mówiłem, nie ma żadnej akcji, bierzecie te bambetle i spadajcie do schronu”.

Jednak Szaserzy nie po to przytargali cały ten szajs pod ścianę, żeby tak po prostu iść z tym do domu.

– Jesteś pewny? – spytał Manolo, z trudem kryjąc zaskoczone rozczarowanie.

– Jestem pewny.

– To po co migali?

Taaak, co tu dużo gadać – tu mnie wziął pod włos. Na to pytanie nie potrafiłem odpowiedzieć ani ja, ani Ziomek, ani nawet bardzo doświadczony Siekiera.

– Pogadaj z nim jeszcze raz – rozkazał Manolo, a ja natychmiast to wykonałem.

Ponowna porcja nocnych wrzasków nic nowego do sprawy nie wniosła, a ja musiałem raz jeszcze powiadomić dzielnych wojaków, że mogą iść do domu. Bitwa przegrana, generale, adieu...

– *Merde!*

No tak. Gwardia umiera, ale się nie podaje.

– I mówisz, że tam jest doświadczony alpinista?!

– Słuchaj, nie wiem co się stało, ale powiadam ci, ten gość wie, co robi. Peuterey Integrale, Ściana Trolli...

– Jak to „wie, co robi”?! – przerwał mi wściekły gid – Miga po pomoc, a potem nie chce pomocy? Wyciąga nas o trzeciej w nocy, a potem mówi „nic się nie stało”?!

– Wygląda, że tak to wygląda – tłumaczyłem – ale jest na pewno jakieś racjonalne wytłumaczenie.

Stojący obok potomek Obelixa zaczął nagle coś tokować, wpieniać się, rzucać mięsem, a z tego co zrozumiałem – komentować kompetencje Dudusia i nas wszystkich.

– Słuchaj no – warknąłem na to do Manola – powiedz temu osiłkowi, że nikt go tutaj nie zapraszał, tylko sam się pchał, więc niech teraz te pretensje sobie wsadzi!

Manolo zreflektował się nieco, a koledzy krewkiego szasera zapanowali nad jego rozgoryczeniem. W ruch poszły termosy i zapasy prowiantu. Po dłuższej chwili, napici i najedzeni, w jako-takiej zgodzie ruszyliśmy z powrotem. To znaczy ruszyła nasza trójka, bo ekspres TGV wystartował i po chwili zniknął nam z oczu.

Siekiera poświęcił na nas czołówką i westchnął:

– Niezły obciach.

A potem dodał – wszyscy wiedzą co.

Mylibyście się, jeśli uznalibyście ten moment za koniec historii. Myliłem się i ja, ale po kolei.

W schronie doszło do całkowitego pojednania z Manolo i jego kumplem, podziękowaliśmy im z całego serca za okazaną pomoc, zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie, wymienili adresami i poszliśmy spać.

Ledwo położyłem się do wyrka, gdy nagle (było ok. 5.30), obudziło mnie szarpanie za nogę.

Zerwałem się nieprzytomny. Przede mną gość wymachiwał kartką papieru.

– Czi to jest polska numer? Czi to jest polska numer?

– Coooo? – nic nie kapowałem, z trudem dochodziłem do siebie, a ten mi wetknął kartkę, faktycznie z jakimś numerem, i domagał się wyjaśnień.

Numer był dziwny i przez dłuższy czas nie mogłem nic skojarzyć, nie mówiąc o tym, że w ogóle nie rozumiałem, czego gość ode mnie chce.

– Tak – zajarzyłem w końcu – to jest polski numer. Co się dzieje?

– Jest potrzeba ratunek. Sertori.

Cooo? Znowu?! Nic już nie rozumiałem. W te pędy wyskoczyłem z wyrka i pognałem do schronu. Tam dowiedziałem się, że z samego rana ekipa z Sertori wezwwała pomoc. No ładnie...

Nie upłynęło 15 minut, jak przyleciało śmigło. Polatało trochę nad Sertori, nad Badylem i zawróciło do nas. Przysiadło przed schroniskiem, a ze środka wyskoczył facet w wielkim hełmofonie. Podbiegł do kierowniczkii schronu, pani Fiorelli, i bardzo coś krzyczał (oni chyba głuchną w tych helikopterach), a ta pokazała na mnie.

Po chwili gość zasypał mnie pytaniami – po włosku naturalmente. English? Deutsch? Niente. W sumie i tak wiedziałem, o co mu chodzi, ale jak mu to zakomunikować?

Chwilę gestykulowałem, próbowałem różnych wersji, aż w końcu sprężona pa-mięć zdobyła się na heroiczny wysiłek:

– *Cinquanta metri a basso da col* – wydukałem.

Twarz ratownika rozjaśnił wielgachny uśmiech. Trzepnął mnie w plecy, że mało na pysk nie wyróżnałem i natychmiast wskoczył do śmigła. Tym razem nie było żadnych problemów – podeszli jak po swoje. Po kilku minutach Dzieci wylądowały się na placyku witane przez panią Fiorelli gorącą herbatą. Wyglądały dość mizernie, choć próbowały się uśmiechać. Pięć minut później z helikoptera wysiadł niezmiernie rozradowany Duduś, który wyglądał, jakby właśnie zamierzał pójść na spacer. Ratownik spisał sobie tylko nazwiska (nawet nie chciał ubezpieczeń), potem oznajmił, że akcja była „uzasadniona” i zmiażdżywszy mi prawicę odfrunął do swoich zajęć. Naprawdę – miły chłop.

I tak zakończyła się słynna „Akcja na Sertori”.

Ku memu niewypowiedzianemu szczęściu, nie ponieśliśmy w niej żadnych strat, nawet sprzętowych. Historia ta nadawała pewnie nasz profesjonalny wizerunek w oczach alpejskich szaserów, no ale coś tam się nam w końcu należy za Somosierre, Moskwę i Marne-Rhein. Natomiast Włosi całą historię nie przejęli się ani trochę, wiadać z tego, że pewnie nie była aż tak niezwykła. I tylko mam nadzieję, że w tym wszystkim i my się czegoś nauczyliśmy.

W każdym razie jedno jest dla mnie od tej pory pewne – że z Alpejskim Szaserem to nie w kij dmuchał.

Uratuje cię, ani się obejrzyysz – i to czy tego chcesz, czy nie.



Nie upłynęło 15 minut, jak przyleciało śmigło. Fot J. Ciborski.

Wspomnienia z jednego dnia letniego obozu KW Warszawa w 2006 roku.

Bogdan Ciborski



Wigilia roku 2006. Tradycja zobowiązuje – konsumpcja nagromadzonych smakolewów, dopiero po pierwszej gwiazdce. Kiedy to nastąpi – nie wiadomo, bo dzień jest bardzo pochmurny. W oczekiwaniu na wieczór wspomnienia same cisną się do głowy. Już od miesiąca zabieram się do napisania, na prośbę Artura, relacji z wejścia na Monte Disgrazia, które miało miejsce podczas naszego pobytu na letnim obozie KW Warszawa w dolinie Val Masino we Włoszech. Nijak mi to jednak nie wychodzi. I chyba właśnie ten dzień i jego nastrój przywołują wspomnienia tamtych dni.

Na obóz KW jedziemy w składzie: ja i Ziomek oraz dwaj nasi synowie: Jacek i Kacper. Kiedy planowaliśmy w Warszawie, co zrobimy i czego dokonamy, już zakładaliśmy, że z pewnością spróbujemy wejścia na jeden ze słynniejszych szczytów doliny. Nikomu jednak na myśl nie przeszło wejście na Monte Disgrazia. Ta decyzja zapadła dopiero na miejscu, po kilku dniach spędzonych na rozwspinaniu w dolinie i przejściu paru dróg w rejonie rifugio Gianetti.

W ramach dnia restowego przemieszczamy się drogą pełną niespodzianek w rejon Preda Rossa, gdzie na parkingu zostawiamy samochód. Niewielu miejscowych pytanych o drogę, widząc nasz niepozorny samochód, załadowany czterema dorosłymi facetami i bagażem, dawało nam szansę dojechania na miejsce. A jednak – i tym razem okazuje się, że Polak potrafi.

W dolinie nie jesteśmy sami. Doganiają nas inni uczestnicy obozu, taszczący do schro-

niska kilkudniowy ekwipunek. Oni również postanawiają poznać okolicę. A droga do schroniska jest nadzwyczaj piękna, zwłaszcza że pogodę tego dnia mamy cudowną.

31 lipca 2006 r., godzina 4.00 – pobudka, szybkie śniadanie. Pogoda jeszcze się nie wykryształizowała i choć prognozy dnia poprzedniego były pozytywne, postanawiamy wyjście przesunąć na 5.00. Świta. Droga prowadzi moreną boczną. Około 6.45 dochodzimy do końca moreny, zakładamy raki i wchodzimy na lodowiec. Jest nadzwyczaj twardo, ani raki, ani czekany zbyt nie trzymają. Na dodatek okazuje się, że Kacper ma zbyt miękkie obuwie. Nie jest w stanie wbić raków na tyle, by pozwalały mu na odrobinę pewności, że za chwilę nie zjedzie na nich w dół jak na łyżwach. Decyzja Ziomka i Kacpra: rezygnujemy z dalszej wspinaczki i wracamy do schroniska. Ja i Jacek postanawiamy iść dalej.

Udaje się nam przejść pierwszy wystromiony i przypominający szkło odcinek lodowca i wejść na tę jego część, którą przyproszył śnieg. Jest teraz o wiele łatwiej. Odnajdujemy również ślady drogi wydeptanej przez naszych poprzedników. Godzina 8.45, docieramy do końca lodowca i wchodzimy na Sella di Pioda – przełęcz, która skalną granią wyprowadza na Monte Disgrazia. Szczyt osiągamy o 11.20 i, jak zwykle, robimy pamiątkowe zdjęcia, dzwoniemy do rodziny i przyjaciół, a że chmur przybywa coraz więcej, po dwudziestu minutach rozpoczynamy zejście.

Na skalnej części drogi nie napotykamy żadnych zmian. Wchodzimy na lodowiec i jesteśmy całkowicie zaskoczeni. Po prowadzącej przez niego ścieżce nie ma śladu, a szczeliny lodowe ciągną się prawie przez

całą jego szerokość. Kilka mniejszych udaje się przeskoczyć, ale pokonanie następnych nie jest już takie proste. Postanawiamy przejść w rejon szczeliny brzeżnej. Decyzja okazuje się słuszną i droga jest już, ogólnie ujmując, dość łatwa. Ale za to pogoda przypomina, że nie zawsze świeci słońce. Zaczyna padać. Kiedy docieramy na koniec lodowca już leje, a widoczność spada tak bardzo, że nie widać kolejnych kopczyków. Zresztą jest ich tyle, że gdybyśmy chcieli się kierować tylko ich usytuowaniem, pewnikiem chodzilibyśmy w kółko. Idziemy więc, utrzymując kierunek. Gdy dochodzimy do schroniska, jest godzina 18.00. Jesteśmy szczęśliwi, zadowoleni, że osiągnęliśmy to, co zamierzaliśmy, zmęczeni trzynastoma godzinami wyprawy, a zwłaszcza tymi ostatnimi:

w deszczu i mgle. Jesteśmy zadowoleni do tego stopnia, że zapominamy powiadomić tych, którym przekazaliśmy wieść o osiągnięciu szczytu, o tym, że również z niego ześliśmy. Kosztowało nas to później wiele słów przeprosin, a ostatecznie sprawę udało się załagodzić dzięki wyrobom imię Pana Bachusa.

A Monte Disgrazia tak naprawdę powinna nazywać się Monte Grazia. Jest naprawdę ładna i widokowa.

Kilka danych z przewodnika:
Droga *via normale* – trudności w skale II/II+, miejscami IV, PD+,
przewodnikowy czas wejścia na szczyt – 5 godzin,
parking Preda Rossa 1955 m n.p.m.,
rif. C. Ponti 2559 m n.p.m.,
Sella di Pioda 3387 m n.p.m.,
Monte Disgrazia 3678 m n.p.m.



Zwarci i gotowi: Bogdan, Jacek, Ziomek, Kacper. Fot. J. Ciborski



Na lodowcu. Fot.B. Ciborski



Autor na szczycie. Fot. J. Ciborski

Podsumowanie sezonu skałkowego 2006

Michał Ziółkowski „Profesor”



Kiedys było takie powiedzenie, że jak nie robisz VI.5, to nie istniejesz. Z pewnością mocno się ono zdewaluowało i teraz wydaje mi się, należy sprawę postawić tak: jak nie robisz VI.6, to nie istniejesz. Uff, na szczęście więc w tym sezonie istniejemy, głównie za sprawą Jakuba Ziółkowskiego „Bratka”, który pokonał *Wściekle Psy* VI.6+ i „Dzidka”, którego łupem padło *Powitanie Wiosny* VI.5+/6 (w kwestii wyceny tej drogi wciąż się dyskutuje i mówi o stopniach od VI.5+ do VI.6).

Westchnienie ulgi, że jednak istniejemy to dla największego klubu w kraju chyba trochę mało. Pociuszający jest fakt obecności sporej grupy wspinaaczy na poziomie VI.5, którzy wyraźnie zbliżają się do swojej pierwszej czystej VI.6-ki. I tak zza szafy speleo (czyli naszej klubowej bulderowni) dobijają się do tego stopnia: Patryk Białokozowicz (*Kucharz z Lamanchy* VI.5, *Krytyka Czystego Rozumu* VI.5 i kilka 7c/c+ w Ospie), Jarek Stach (*Kaprys Bogów* VI.5/5+, *Krytyka Czystego Rozumu*) i wspomniany „Dzidek”, który *Powitanie Wiosny*, jak sama nazwa wskazuje, zrobił na początku sezonu, po czym, bezczelnie migając się od obowiązku zrobienia dla klubu VI.6-ki, złamał nogę.

Możemy też liczyć na ekipę klubową związaną z sekcją W Pionie: Andrzeja Szypowskiego (*Krytyka Czystego Rozumu* VI.5), Grzesia Gosa (*Krytyka Czystego Rozumu* VI.5 i liczne 7c/c+), Marka Fliśnika (*Rock'n Roll* 7c/7c+), Szczepana Głogowskiego „Ojca Dyrektora” (*Grek Korba* VI.5, *Krytyka Czystego Rozumu* VI.5, *Omadown Direct* VI.5), Wojtka Barczyńskiego (*Krytyka Czystego Rozumu* VI.5) czy Michała Ziółkowskiego „Profesora” (*Dupa Biskupa* VI.5, *Grek Korba* VI.5).

Wojtek Barczyński na *Krytyce Czystego Rozumu* VI.5.
Fot. M. Wierzbowski.

Z pewnością VI.6-kami uraczyć nas mogą zawsze: Naprawdę Bardzo Silny (pierwsze klubowe 8c), choć mniej wspinający się w tym sezonie, Michał „Mięśniak” Górczyński i nasz nowy cenny nabytek, Aleksander Romanowski, który, wracając do wspinań po kontuzji, zdążył już zająć 5. miejsce w edycji Bulderowego Pucharu Polski w Toruniu i 6. miejsce we Wrocławiu (warto wspomnieć, że Olo zdobył już kiedyś tytuł Mistrza Polski w Bulderingu).

Dobre starty w zawodach zanotowali również Jakub Ziółkowski i Stanisław Kieniewicz. Jakub „Bratku” zajął 8. miejsce w edycji Bulderowego Pucharu Polski w Tarnowie, po której zajmował 6. miejsce w klasyfikacji generalnej – niestety po odpadnięciu z blokiem skalnym w trakcie wyjazdu na Kalymnos doznał urazu uniemożliwiającego start w ostatniej edycji. Stanisław Kieniewicz regularnie plasował się w drugiej dziesiątce w zawodach bulderowych, wygrywając czasem z takimi tuzami jak Łukasz Müller. Staszek może się także pochwalić ładnym wykazem przejść, na który składają się między innymi: *Arnaqe* 8a w Tarnie (jedyne klubowe 8a w tym sezonie), *Krytyka Czystego Rozumu* VI.5 czy *Keep on' Movin* 7c+ (Tarn) i onsight na *Le Plasier qui Demonte*. Trzeba też wspomnieć o drugim z braci Kieniewiczów, zdobywcy Orła KW 2005 – Tadeuszu, który przeszedł *L'homme Presse* i *Monstr trou* – obie za 7c oraz onsightem *Ma que Donald* za 7b+.

Bardzo mocnym wykazem przejść zarówno RP, jak i OS może się pochwalić Jakub Ziółkowski „Bratku”, między innymi: *Wściekle psy* VI.6+ RP, *Samotność długodystansowca* VI.5+ RP 3 próba, *Pożegnanie z broną* VI.4 OS, bezimienna VI.3+ OS. „Bratku” dużo walczył w tym sezonie o VI.5 OS i kilka razy dosłownie otarł się o topowe chwytły, a trzeba pamiętać, że onsighty na naszej Jurze... W planach miał także pierwsze swoje 8a OS i w tym celu udał się na bardzo przyjazną trudnym onsightom wyspę Kalymnos. Niestety, plany po krzyżował luźny blok skalny... i uraz kręgosłupa.



Maria Maciszewska wspina się na *Myśliwych* z *Jurgowa* VI.2+. Fot. R. Zalewski.

Wśród pań bardzo ładnym wykazem może się pochwalić Marta Czajkowska: *Ivi* 7b OS i sporo dróg 7a+ OS oraz Maria Maciszewska, która, wracając po przerwie do wspinania, bez „zimowego” przygotowania pokonała między innymi *Prostowanie Wariantów Klasycznych* VI.3+/4 RP.

Ładowanie na klubowej pakerni przyniosło sukcesy naszemu zdeklarowanemu „bulderowcowi” – Łukaszowi Jankowskiemu „Jankesowi”. „Jankes” z założenia nie wspina się z liną, nie używa kciuków w treningu na ścianie („bo w naturze się nie przydają”), a pewien pokaz slajdów z obozu klubowego w Alpach skomentował (ze szczerym zdziwieniem i bez cienia arogancji): „przecież to ciąg no-hand restów!”; Łukasz pokonał klasyk *Mandale* 7c Fb (może to taki bulderowy *filar Walkera*?), *Mauros* 7cFb, *Carnage* i *Zaduk* oba za 7b+Fb oraz liczne buldery o wycenach 7a+ - 7b Fb. Dało mu to 9. miej-

sce wśród Polaków w rankingu strony 8a.nu i choć trzeba pamiętać, że nie wszyscy wpisują tam swoje wyniki, to jest to bardzo dobre osiągnięcie, jak najbardziej zauważalne na arenie polskiego bulderingu.

Są także szpony ze stali nierdzewnej – Ryszard Tomasik wciąż wspina się na poziomie 7b i więcej, Zbigniewa Krośkiewicza (w sezonie 2005 7c OS!) widziano, jak całkiem żwawo „pomykał” na trudnej VI.5-ce *Manitua*, Marcin Kantecki „Kolarz” przeszedł liczne 7b (w tym 1 OS), a Szczepan Głogowski „wciągnął” w tym sezonie trzy VI.5-ki, napinając się bardziej tylko na jednej z nich – *Omadown Direct*. Szczepan dodatkowo pozwolił sobie na stwierdzenie, że najpopularniejsza wśród młodszego klubo-

Jakub Ziółkowski na drodze *Wściekłe psy* VI.6+ RP.
Kaskady, Góra Zborów. Fot. W. Barczyński.



wego pokolenia VI.5-ka – *Krytyka Czystego Rozumu* – jest prosta i może wycena...

Gratulujać mu takiej formy, trzeba ze smutkiem stwierdzić, że skoro młodzi męczą się (poza wyjątkami) na tych samych trudnościach, co „wysłużone szpony”, to nie jest dobrze. Najlepsze klubowe RP – *Wściekle psy* VI.6+ to droga, którą pokonała w tym roku kobieta (Ania Sztompka). Po szeroko omawianych tu VI.5 wspinają się już w kraju dziesięcioletnie dzieci (Piotr Schab – *Chirski Maharadża*). Jeżeli w klubie liczymy na sukcesy sportowe, to trzeba by się wziąć za młodzież – czuję się trochę jak Staszic;) Oczywiście może nam nie zależeć na wspinaczce sportowej – wiem, że klub ma w nazwie wysokogórski, ale już nie długo nadejdą czasy, jeśli jeszcze nie nadeszły, że jak nie robisz VI.5 w skałach, to w górach nie zaistniejesz.

Starałem się dotrzeć do wszystkich, ale może do kogoś nie dotarłem. Pominiętych z góry przepraszam.

Wykazy przejść niektórych bohaterów tekstu:

Marta Czajkowska:

***Pinio* VI.3 RP**

***Zielone i czarne* VI.3 RP**

***Cudaczek* VI.3+ RP**

Francja; Castillon:

***Burning road* 7a OS**

Słowenia; Osp:

***Kindergarten* 7a OS**

Grecja; Kalymnos, tylko OSy:

***Funatiker* 7a+**

***Polipitis* 7a+**

***Petranta* 7a+**

***Aphrodite* 7a/a+**

***Polydeykes* 7a+/b**

***DNA* 7a+/b**

***Ivi* 7b**



Jakub Ziółkowski na drodze *Wściekle psy* VI.6+ RP. Kaskady, Góra Zborów. Fot. W. Barczyński.

Maria Maciszewska:

Prostowanie Horyzontów Techniki VI.2

Magnezjówka VI.2+

Myśliwi z Jurgowa VI.2+

Warianty Klasyczne VI.3

Prostowanie Wariantów Klasycznych VI.3+/4

Marek Fliśnik:

Słowenia; Osp:

Rock'n Roll 7c/7c+ RP

Ospomaniak 7a+ RP

El Diablo 6c+/7a RP

Hiszpania, El Chorro:

Drogi od 6b do 7a OS, brak danych

Polska, Jura:

Łutowiec, bezimienna VI.3 OS

Patryk Białokozowicz:

Krytyka Czystego Rozumu VI.5 RP

Kucharz z Lamanchy VI.5 RP

Słowenia; Osp:

Rock'n Roll 7c/7c+ RP

Maniana 7c/7c+ RP

Hugo 7c/7c+ RP

Jakub Ziółkowski „Bratku”.

Góra Zborów/Turnia nad Kaskadami:

Wściekłe psy VI.6+ RP

Podlesice/Jastrzębnik,

Lewa rysa VI.2+/3 OS

Podlesice/Popielarka,

Pożegnanie z broną VI.4 OS

Przeminęło z wiadrem VI.4 RP, 2 próba

Podzamcze/Gołębnik,

Niemyte dusze VI.4+ RP, 2 próba

Ommadawn direct VI.5 RP

Podzamcze/Suchy Poleć,

Super nowa VI.4+/5 RP, 2 próba





Michał Ziółkowski wspina się na *Magnetowidzie*.
Fot. R. Zalewski.

Skarżyce/Okiennik Skarżycy,

Samotność długodystansowca VI.5+ RP, 3 próba

Władca pierścieni VI.5 RP

Smoleń/Zegarowe skały

beziemienna VI.3+OS

Michał Ziółkowski „Profesor”:

Dupa Biskupa VI.5 RP

Grek Korba VI.5 RP

Prostowanie Wariantów Klasycznych VI.3+/4
RP, 2 próba

Andrzej Szypowski:

Biblioteka,

O kant dupy VI.3+/4 flash

Roboty Drogowe VI.2+ OS

Okiennik Skarżycy,

Krytyka Czystego Rozumu VI.5 RP

Podlesice,

Kobiety i Medycyna VI.4+ RP

Prostowanie Sprawdzianu z Refleksu VI.4+ RP

Rzędkowice,

Prostowanie Wariantów Klasycznych VI.3+/4 RP

Wykrzyknik VI.4 RP

Grzegorz Gos

Słowenia; Misja Peć:

Durango 7b+

Hugo 7c/7c+

Manana 7c/7c+

Ptica 7b

Runo 7b+/7c

Tortuga 7b+/7c

Okiennik Skarżycy,

Krytyka Czystego Rozumu VI.5

Sperlunga,

A Volte Si Staccano 7c/7c+

Cave Cannam 7b+/7c

Fini e Forti 7a+/7b

Invidia 7b+/7c

Is Danzas 7b+

Jeremy's Fun 7b

L'ombra Dello Scorpi 7b+

Nove Dal Fango 7a+/7b

Placcati 7a+/7b

Su Sardo 7a+/7b

Szczepan Głogowski:

Hattin – rzeź tempelariuszy VI.4+ RP

Grek Korba VI.5 RP

Krytyka Czystego Rozumu VI.5 RP

Ommadown Direct VI.5 RP

Stanisław Antoni Kieniewicz:

Arnaque.com 8a RP, 3 próba TARN

Keep on movin 7c+ RP TARN

Krytyka czystego rozumu VI.5 RP

Le plaisir qui demonte 7c OS

Monstre trou 7c RP

L'homme presse 7c RP

Chasin the trane 9 RP 7c

L'oleil du budha 7b+ flash

Power of love 9- 7b+ RP

Katana 7b flash

Prisse di care 7b OS

Supreme dimension 7b OS

Grandure nateure 7b OS

Produit daubant 7b RP

Une colonne derriere les verrous 7b OS

La vueve noir 7b flash

Jump 7b+ RP

Nice price 7b RP

oraz około 25/30 dróg 7a i 7a+ w stylu OS

BULDERY:

1x 7b i parę 7a i a+ w Fontainebleau

Mescalina w Ciężkowicach 7b+

Tadeusz Kieniewicz 2006:

Monstre trou 7c RP

L'homme presse 7c RP

L'oleil du budha 7b+ flash

Ma que donald 7b+ OS

Il n'y a d'horreur que dans le nom 7b+ flash

Jump 7b+ RP

Katana 7b RP

The Chinese way 7b flash

Produit daubant 7b RP

Grandure nateure 7b RP

El diablo perverso 7b OS

Bras de fer 7b OS

Igły i szpilki VI.4 RP

Odmienne stany świadomości VI.3/3+ OS!

oraz około 30 dróg 7a i 7a+ w stylu OS

ONSIGHT

Centrum Wspinaczkowe

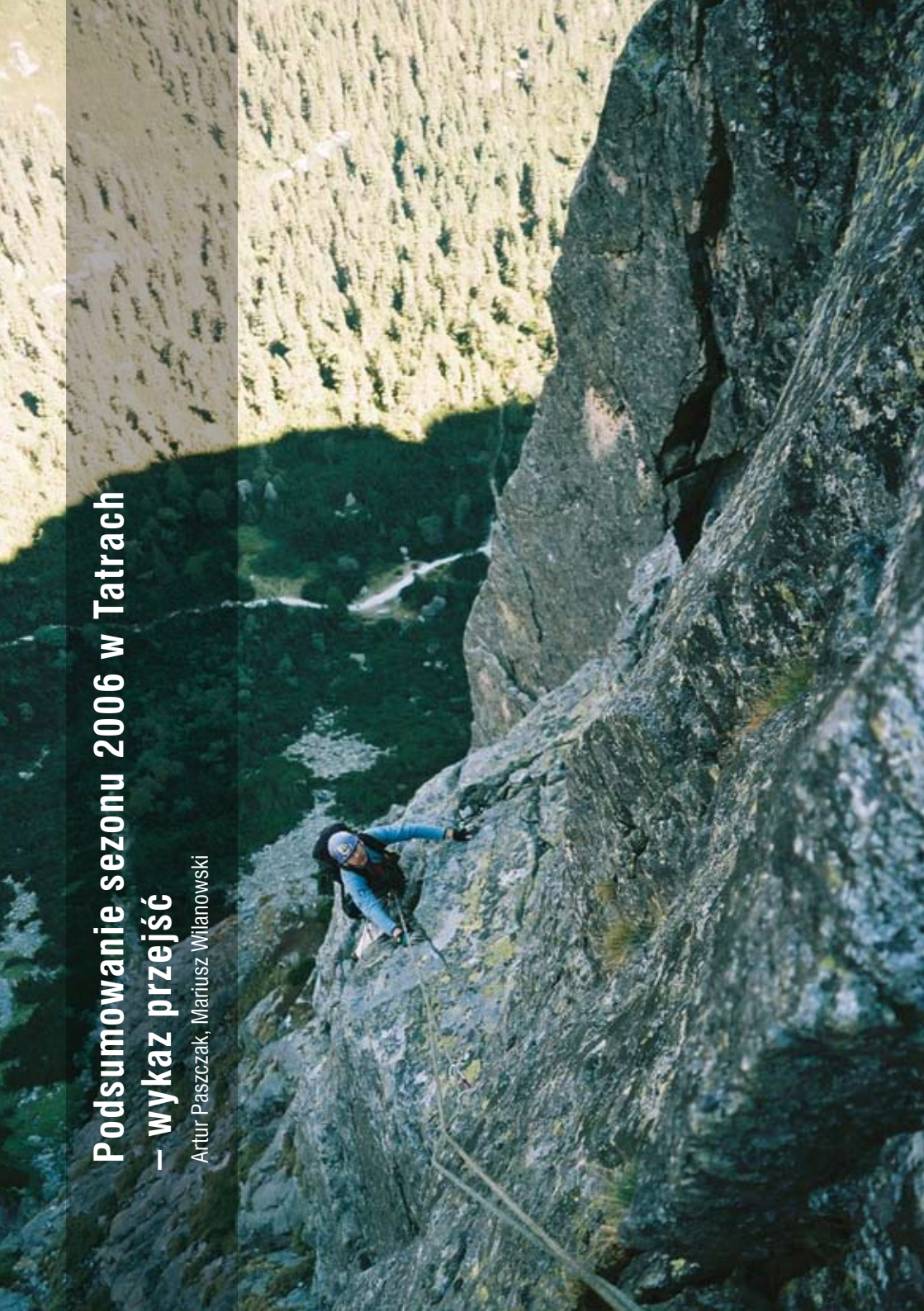
Hala Sportowa Kolo
Warszawa, ul. Obózowa 60

zapraszamy codziennie od 10⁰⁰ do 22⁰⁰

dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistracka

Podsumowanie sezonu 2006 w Tatrach – wykaz przejść

Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski



Nowe drogi i warianty:

Cubryna

Środek ściany VI;

Jan Hobrzański, Mirek Koprowski i Marek Meszyński, 27.07.2006. Nowa droga pn. ścianą z Zadniej Galerii Cubryńskiej,

Kopa nad Wagą

Filar VI+;

Grzegorz Kletschka i Krzysztof Rychlik, 15.07.2006, prawdopodobnie nowa droga Filarem licząca 9 wyciągów i 250 m łatwego terenu,

Mnich

American Beauty VIII+;

Andrzej Marcisz, Piotr Korczak i Tomasz Opozda, 26.09.2006,

Andromeda VII;

Tadek Grzegorzewski i Artur Paszczak, 23.09.2006, jeden wyciąg poniżej Pólek,

Luftwaffe VIII+;

Andrzej Marcisz, Piotr Korczak i Tomasz Opozda, 07.10.2006,

Wołowa Turnia

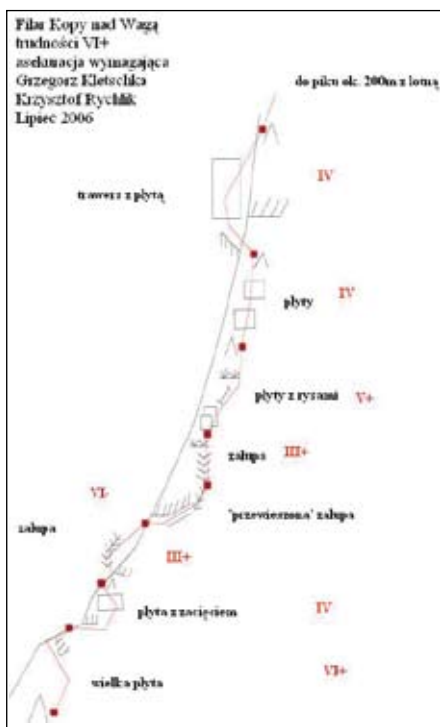
Wariant ZHP VII+;

Piotr Korczak, Artur Paszczak i Starosta RP, 24.09.2006, nowy wariant – obejście zacięcia i okapu na Wariencie Wolfów,

Zadni Kościelec

Rozbity Poniedziałek V;

Piotr Poniedziałek i Jakub Rozbicki,



19.09.2006, nowa droga na lewo od *Stanisławskiego*,

Zorro Reaktywacja VI+;

Jacek Patrzykont i Jakub Rozbicki, 11.09.2006, nowa droga na lewo od *Zalupy „H”*,

Zadnia Białczańska Baszta

Incitatus VI;

Artur Paszczak i Adam Pieprzycki, 13.07.2006 (nowy dwuwyciągowy wariant).

Tadek Grzegorzewski na Filarze Sławkowskiego Szczytu. Fot. A. Paszczak.



Tadek Grzegorzewski na Filarze Sławkowskiego Szczytu. Fot. A. Paszczak



Marcin Księżak na drodze *Patagońskie Lato* VII+/VIII– na zach. ścianie Łomnicy. Fot. P. Sztaba

Nowe kombinacje:

Mnich

Max Cavaleria VIII+;

Piotr Korczak i Tomasz Opozda, 19.07.2006. Nowa kombinacja, w skład której wchodzi dwa pierwsze wyciągi *Wachowicza*, czwarty wciąg *Misterium Nieprawości* i ostatni wyciąg *Metalliki*.

Seven Up VII;

Tomasz Opozda i Artur Paszczak, 11.08.2006 (po przygotowaniu *Dolnego*... przez Tadek Grzegorzewskiego i Artura Paszczaka). Kombinacja składa się z dwóch wyciągów *Dolnego Górnego*, *Hobrzańskiego* i *Kosińskiego*.

Seven Up Bez Cukru VIII-;

Jacek Waławczyk i Marcin Wernik. Kombinacja składa się z dwóch wyciągów *Dolnego Górnego*, *Łapińskiego* i *Kosińskiego*.

Seven Up Straight VII-;

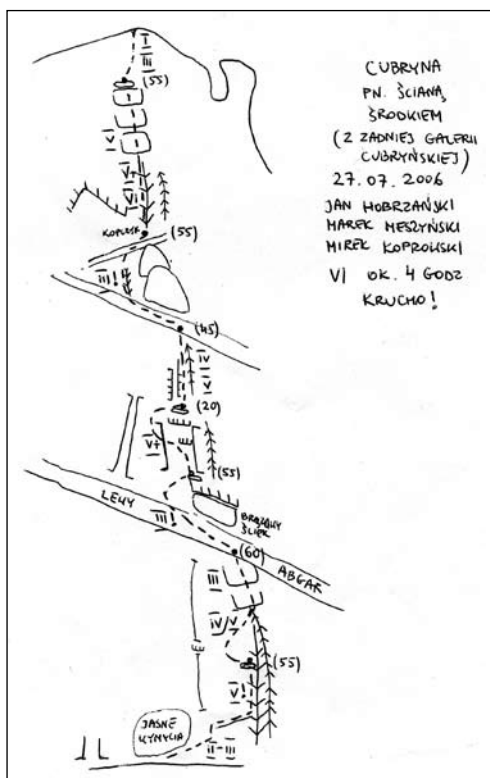
propozycja kombinacji, na którą składają się dwa wyciągi *Dolnego Górnego*, *Hobrzańskiego* i *Międzymiastowej* z dojściem wprost od stanowiska po *Hobrzańskim* (VI+).

Ho-Wa-Łapa VII-;

Jan Hobrzański, Mirek Koprowski i M. Krysztofowicz 24.08.2006. Kombinacja składa się z *Hobrzańskiego*, dojścia do *Wachowicza* i nim na *Górne Półki*, dalej jeden wyciąg *Łapą* pod pd. Grań.

Supersprężyna VII-;

Piotr Korczak i Andrzej Marcisz. Kombinacja składa się z pierwszego wyciągu *Dołu Sadusia*, dojścia wprost pod okapik i *Sprężyny*.



Hipersprężyna VIII-;

Piotr Korczak i Andrzej Marcisz. Kombinacja składa się z pierwszego wyciągu *Dołu Sadusia* (VII-), pierwszego wyciągu *American Beauty* (VII+) i *Sprężyny* przez *Szaloną Rysę* (VIII-).

Andromeda-Saduś-Sprężyna VII+;

Grzegorz Kletschka i Krzysztof Rychlik 24.09.2006.



Obejścia Wielkiego Okapu na Kazalnicy (chronologicznie):

1. Obejście Marcisza, (Marcisz-Gromek) 1985, VII.
2. Obejście Pankiewicza, ok 1992, VII, od jedynki trawers poziomo w lewo, ew. lekko w górę, przez ściankę.
3. Obejście według przejścia 2003 (Paszczak-Skierski), wariant do 2, od jedynki trawers z wyraźnym obniżeniem, po półce, VI+/VII–

Obejście Wielkiego Okapu w 1985 r. dziwnym zbiegiem okoliczności pozostało zupełnie niezauważone – a tymczasem, było to przecież pierwsze klasyczne przejście Filara Kazalnicy! Co prawda bez Wielkiego Okapu, ale jednak przejście Filara. Aż siedem lat trzeba było czekać na powtórzenie tego śmiałego wyczynu, które odbyło się nieco inną linią. Podobnie jednak – powtórzeń nie było przez kolejnych 11 lat, do sezonu 2003, kiedy to, zupełnie nieoczekiwanie, tzw. Obejście Pankiewicza powtórzyło aż 7 zespołów. Wariant Marcisza drugie przejście uzyskał dopiero za sprawą samego autora – w 2004 (z Szalonym). Drugiego powtórzenia dokonali w następnym (o ile się nie mylę) sezonie – Kuba Radziejowski i Maciek Ciesielski.

Ponieważ poszczególne warianty biegną bardzo blisko siebie, a teren nie jest w ogóle ewidentny, pomyślałem, że warto wykorzystać dobre ujęcie, jakie uzyskałem obserwując wspomniane przejście Marcisz-Korczak, dla wyrównania małego topo. Dobrze pokazuje ono przebieg oryginalnego wariantu, wyposażonego obecnie w 2 haki i spita (za przetłumaniem). Najłatwiejszą opcją wydaje się być wariant 3, choć asekuracja jest na nim nieco słabsza (na samym trawersie jedna jedynka), wariant Pankiewicza ma natomiast tę samą asekurację, a trudności chyba nieco większe (wszystkie haki zaznaczone odpowiedniego koloru kółeczkami). Jak zwykle, prosimy o nadsyłanie wszelkich uwag pod adresem redakcji, będziemy je na bieżąco aktualizować na stronie internetowej KW.

Artur Paszczak

Ciekawsze powtórzenia:

Czołówka MSW

Porfawora VIII;

Łukasz Kiecoń i Grzegorz Rettinger RP 04.07.2006,

Łukasz Mirowski i Joanna Nowak RP,

Preludium VIII;

Łukasz Mirowski, Joanna Nowak i Adam Radwański RP 18.07.2006,

Piotr Cwiękała i Tomasz Polok RP,

Kombinacja *Greystone-Preludium* VIII;

Grzegorz Kletschka i Krzysztof Rychlik flash, 29.07.2006,

Kazalnica Mięguszwiecka

Filar (obejściem Marcisza) VII; Andrzej Biborski i Iwo Biborski OS, 13.09.2006,

Kant Filara oryg. VIII;

Grzegorz Rettinger i Magda Waluszek RP bz,

Andrzej Biborski i Iwo Biborski AF,

Pająki (z wyjściem Momatiukiem) VII+;

Łukasz Pietrzykowski i Piotr Tyrna OS, Tadeusz Kamiński i Grzegorz Sokołowski RP 15.09.2006,

Stąd do wieczności VIII+;

Grzegorz Rettinger i Magda Waluszek OS, 11.07.2006,

Zaczadzony Umysł VII:

Maciek Ciesielski, Jakub Radziejowski i Wawrzyniec Zakrzewski 1AF, pierwsze powtórzenie 05.07.2006,



Adam Pieprzycki na nowym wariancie *Incitatus* VI na Kopie nad Wrótkami. Fot. A. Paszczak

Adam Pieprzycki i Rafał Pietrasiak OS,

Andrzej Biborski i Iwo Biborski OS,

Kieżmarski Szczyt

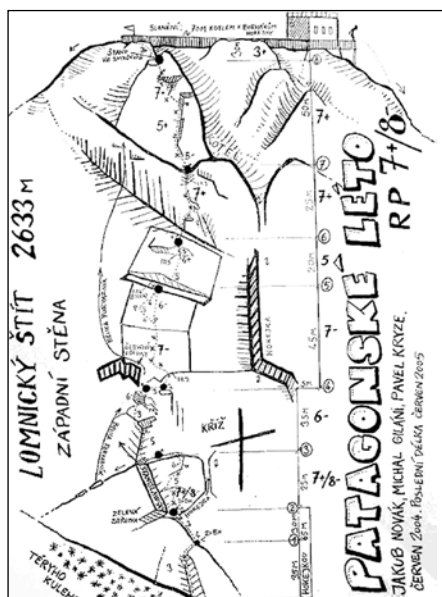
Płyty Pochylego VIII–/VIII;

Piotr Korczak i Artur Paszczak RPz,

Kościelec

Pulp Fiction VIII+;

Wojciech Karnaś i Łukasz Kiecoń RP (obaj poprowadzili kluczowy wyciąg),



Piotr Robot, Paweł Gręda i Artur Klikowski, 07.09.2006,

Łomnica

Patańskie lato VII+/VIII-;

Marcin Książak i Piotr Sztaba OS, 14.10.2006 (prawdopodobnie pierwsze polskie przejście drogi),

Młynarczyk

Kastrator IX-;

Jurek Gurba i Jacek Jurkowski OS,

Mnich

2+I VIII;

Michał Król i Andrzej Sokołowski OS (trzecie przejście), 03.07.2006,

Maciek Ciesielski i Jakub Radziejowski

RP pp (czwarte przejście), 07.07.2006, Jurek Gurba i Jacek Jurkowski RP, 10.09.2006,

American Beauty VIII+;

Paweł Kopta i Darek Mielczarek RP, 30.09.2006,

Baryła-Stonawski VIII/VIII+;

Wojciech Karnaś i Łukasz Kiecoń OS, 07.09.2006,

Dolny-Górny VII-;

Wojciech Karnaś i Łukasz Kiecoń, Jacek Waclawczyk i Marcin Wernik (przy okazji przejścia nowej kombinacji *Seven Up Bez Cukru*),

Luftwaffe VIII+;

Mariusz Biedrzycki i Grzegorz Rettinger RP, 13.10.2006,

Max Cavaleria VIII+;

Jacek Jurkowski i Tomasz Kasiński RP, 26.09.2006,

Metallica IX-;

Andrzej Sokołowski i Marcin Tomaszewski RP, 05.07.2006,

Stanislav Hovanec i Josef Kristoffý flash, 12.09.2006,

Misterium Nieprawości X-;

Dariusz Kałuża i Marcin Gąsienica-Kotelnicki RP, 22.07.2006,

Jacek Jurkowski i Tomasz Kasiński RP (trzecie przejście), 13.09.2006,

Ny-ny-ny VII+/VIII-;

Katarzyna Jędrzejczak i Rafał Nawrot RP, 22.07.2006,

Saduś IX-

(Wariantem Nyki); Piotr Korczak i Andrzej Marcisz RP, 20.08.2006,

Superata Młodości VIII+;

Piotr Drobot i Krzysztof Małyś OS,

Wachowicz VIII;

Andrzej Marcisz i Jacek Zaczkowski (na kostkach) OS,
Peter Horntrich i Jakub Radziejowski OS,
Wojciech Karnaś i Łukasz Kiecoń OS,
Piotr Cwiękała i Tomasz Polok OS,

Variant R (z wyjściem *Nyka*)
VIII+/IX-;
Mariusz Biedrzycki i Grzegorz Rettinger RP, 14.10.2006,

Wołowa Turnia

Orolin VII/VII+;

Stupid Wall VII;

Alicja Paszczak i Artur Paszczak (propozycja obniżenia wyceny na VI+),

Żabi Mnich

Pro Pain VII+;

Łukasz Kiecoń, Grzegorz Rettinger i Magda Waluszek OS, 03.07.2006.

Przejścia samotne

Mnich

Kant Klasyczny VI-;

Andrzej Kowalik, 22.08.2006,

Max Cavaleria VIII/VIII+;

Paweł Kopta RP,

Zamarła Turnia

Lewy Pilch V+;

Andrzej Kowalik, 16.08.2006,



Jacek Jurkowski podczas przejścia *Misterium Nieprawości* X-na Mnichu. Fot. A. Paszczak

Motyka V;

Andrzej Kowalik, 05.07.2006,

Prawy Pilch V+;

Andrzej Kowalik, 19.08.2006,

Prawi Wrześniacy V+;

Andrzej Kowalik, 07.07.2006,



Ścianka Kupczyka na drodze Birkenmajera na Łomnicy. Fot. A. Paszczak.

Łańcuchówki

Łańcuchówka 7x7

Adam Krzystanek i Marcin Michałek, 14.10.2006; *Filar Staszła* (Zadni Granat, V 520 m), *Filar Leporowskiego* (Kozi Wierch, V 220 m), *Klasyczna* (Zamarła Turnia V 120 m), *Filar Szczuki* (Mały Kozi W. IV+ 200 m), *Setka* (Zadni Kościelec, IV 260 m), *Stanisławski* (Kościelec, IV 120 m),

Filar (Świnica, III 350 m), wszystkie drogi pokonane do wierzchołka, łączny czas przejścia 17.5 h.

Expander – 4 x Sprężyna

(próba) - Adam Krzystanek i Marcin Michałem. Po przejściu trzech dróg na Małym Młynarzu, Kotle Kazalnicy i Mnichu zespół zrezygnował w nocy z przejścia *Sprężyny* na Kościelcu.

TATRZAŃSKA MOCNOMLECZNA

Niezbędna na górskim szlaku





O Zajęczym Sercu
i dwóch Misiach

Wspomnienie o **Ziomekcie** **Wirskim**

Idziemy na Grosza, na zachodniej ścianie Gerlachu. Przy kolebie Ziomek zarządza krótki postój. Zaglądamy do środka. Na byle jak wymoszczonym legowisku komicznie prezentuje się samotny budzik. Zjadamy po cukierku i już za chwilę mijamy Batyżowiecki Staw, od brzegu do brzegu wypełniony burymi kłębamii chmur.

Teraz Ziomek wyprzedza mnie znacznie. Ma świetną kondycję. Spędza w górach mnóstwo czasu. Uwielbia włóczyć się po ich zakątkach i zna je jak mało kto. Lubi też czytać o nich, a przy okazji bawi się słowem. Poluje, na co śmieszniejsze kaski z literatury górskiej i WHP-owych opisów, by z upodobaniem przytaczać całe ich humorystyczne fragmenty. Nasza droga ma być na przykład „widokowo piękna”, a wspinać będziemy się po „wybornoie połupanych skałach”. Najbardziej jednak fascynuje Ziomek, możliwość zwiedzenia „kotła wdrążonego w ścianę”. Zależy mu na kolekcjonowaniu niekoniecznie trudnych, ale za to ciekawych, lub zabawnie opisanych dróg.

Zostawiamy za sobą kolejne prożki, piargi, usypiska, wzniesienia. Daleko przed nami widać dwie ruchome figurki. To Asia Czarnecka z Irzinkiem. Idą na Batyżowiecki.

Chmury we wszystkich odcieniach szarości tkwią złowieszczo nad kamiennym dnem doliny. Nie sądzę, żeby wycieczka na Gerlach była dzisiaj dobrym pomysłem. Za duża góra na taką pogodę! Ziomek też najwyraźniej ogarniają wątpliwości. Nerwowo biega

wzdłuż ściany, z przewodnikiem w rękę, by wreszcie zawrócić w stronę Kościółka. Dochodzę do niego.

– Pogoda niepewną jest! Krótko mówiąc, zaraz dupnie! – oznajmia stanowczo.

Tymczasem Aśka poprowadziła już pierwszy ciąg...

– A może by tak, Batyżowiecki? – rzucam bez przekonania.

– O nie, nie! Gosiu! Innym razem! Poczekamy spokojnie z godzinkę i na pewno coś się wyjaśni.

Z ulgą układam się więc na głazach i tak trwam. Czekam. Na deszcz, ma się rozumieć.

Ziomek jednak nie jest w stanie czekać, jak sam sugerował – spokojnie. Podbiega bliżej Batyżowieckiego. Widzę jego ciemną, ruchliwą sylwetkę na tle seledynowej ściany. Krótkie spodenki odcinają się od długich szeroką falbaną. Pocieszenie to wygląda! Ziomek w spódniczce!

Irzi utknął przy którymś z przelotów. Ziomek stoi nieruchomo. Pilnie go obserwuje. Irzinek, jak wiadomo, posiada złote serce i choleryczną naturę. I tak śmiesznie się złości! Ziomek uwielbia go prowokować. Teraz też wpada na pomysł świetnej zabawy. Zaczyna podawać Misiowi czas akcji.

– 4 minuty i 18 sekund likwidujesz kostkę! – woła.

Irzinek nie odzywa się. Coś tam majstruje.

– 5 minut i 23 sekundy!

Irzi dalej dłubie czymś w szczelinie, ale jakby bardziej chaotycznie.

– 6 minut i 3 sekundy!

Irzi miota się i szarpie jakąś pętlę.

– Ziomek, zamknij się! – woła Aśka.

Irzi zaczyna głośno sapać.

– 7 minut i 42 sekundy!

Irzi z pasją wali młotkiem. – Błazenek! – krzyczy.

Ziomek wybucha śmiechem.

– Siostra, zaknebluj go! – drze się Aśkonii.

Ale ja też śmieję się radośnie. Wyobrażam sobie jak rozwścieczony Irzinek pastwi się nad kostką!

Ziomek wraca do mnie. Niestety, chmury i Aśka z Irlą wznoszą się coraz wyżej. Dla nas oznacza to jedno – musimy się ruszyć! Widać już Gerlach.

– Co on taki duży?! To jednak kawał ściany!

– Cholera, Gosiu, ale już późno!

Nawzajem „dodajemy” sobie ducha.

Nagle Ziomek zachwyca się czymś na wprost nas.

O kurde! Patrz! – woła.

– Gdzie? Kozy?!

– Tu też jest droga Grosza! Na Zadnim Gerlachu! Wprawdzie nieco trudna, ale za to bez piargów – cytuję WHP-a. – BEZ PIARGÓW, rozumiesz?! – zaśmiewa się. – A tobie w głowie tylko kozy, albo czo druhe!

Jasne, że rozumiem. On kocha takie kurioza. Droga „bez piargów”, to dla Ziomek, nawet jeśli jest nieco trudna, nie łąda grátka.

„Wdrążony kocio!” definitywnie zostaje odłożony na inne czasy. Maszerujemy pod Zadnim Gerlach. Ziomek idzie przodem. Nagle odwraca się.

– To jest Pasternakowa Przehyba – mówi. – Pamiętaj. Szłaś przez Pasternakową Przehybę.

Ten zastępczy Grosz jest rzeczywiście zupełnie łatwy. Dość szybko wychodzimy na grań, a zaraz potem na wierzchołek. Rzut oka do Kaczej i już kierujemy się w stronę zejścia. Ziomek bardzo rzadko wytrzymuje dłużej niż parę minut na szczycie. „Zejdźmy chociaż 100 metrów”, błaga zawsze. Teraz też popasamy dopiero nad Walowym Żlebem. Szeleszczą papierki, batony przyklejają się do zębów.

Trzeba przyznać – młasczę – że odżywienie dobre!

– A i zdrowie dopisuje, i widoki zajmującymi! – dodaje Ziomek.

Lubimy wymieniać podobne uwagi. Zwłaszcza, gdy słyszą nas inni.

Dzielić sprawiedliwie kawałek kabanosa i zabieram się do morelek.

– No! Zbieramy się! – mityguje mnie Ziomek

– Gdyż?

– Gdyż zejście jest długim. A co to będzie i śmiałych okroczeń, i opuszczania się na rękach!

Parę dni później jesteśmy już u siebie – w Moku. Działamy tak, jak zwykle. Wieczorem Ziomek wybiera drogę. Planuje podejście, zejście, bada możliwości wycofu. Potem ja wybieram szpej, z którego on, nie zważając na moje protesty, większość ładuje do swojego plecaka.

– Dla ciebie ważny jest każdy gram – mówi – a dla mnie, kilogram wte czy wewte, nie ma większego znaczenia.

Tym razem wybór pada na drogę Smólskiego, na wschodniej ścianie Mięgusza.

Może być. Kluczowy wyciąg mam już rozpracowany. Będzie dobrze.

– Parada! – cieszy się Ziomek.

Ale po zrobieniu drogi, musimy jeszcze zdążyć na pociąg do domu. Decydujemy się więc wstać o trzeciej.

Budzik zaczyna dzwonić za siedem trzecia. Przez chwilę nasłuchuję w nadziei na miły odgłos deszczu, siekącego brezent namiotu. Niestety! Słychać tylko stłumione pochrapywanie z sąsiedniego podestu. Szturчам Ziomek.

– No Gośka, oszalałaś?! Po co budzisz mnie tak wcześniej?! – rozpacza – przecież mieliśmy wstać o trzeciej!

W końcu jednak przytomnieje i wyłazi ze śpiwora. W ciemnościach, zataczając się i potykając, idziemy do Relaksu. Zimno! Cały tabor pogrążony w błogim śnie. Tylko my, nieszczęśnicy wstawamy!

Zapalamy lampę. Nad stołem napis „Zakaz palenia”. Jesteśmy posiadaczami zeschniętego chleba i słoika miodu. Ziomek przegrzebuje cudze zapasy, usiłując „poczęstować nas” herbatą, ale w końcu rezygnuje, nie mogąc jej znaleźć.

– No i dobrze – mówię. – Zawsze to jeden grzech mniej!

– Wiesz co, Siostra? Jesteś beznadziejna! – obraża się.

Ale chęć „zgrzeszenia” łatwo nie opuszcza Ziomka. Jak nie tak, to inaczej! Włazi na ławkę i w słowie „zakaz” przekręca pierwsze „Z” tak, że powstaje „N”. Zadowolony z siebie dodaje łyżkę miodu do kubka z wodą i przystępuje do śniadania.

Zimno! Ubieramy się we wszystko. Polary, kurtki, na długie spodnie naciągamy krótkie, na ręce, jak to Ziołek mawia – nie pierwszej czystości skarpetki. I jeszcze ja czapkę, a on swoją ulubioną, błękitną kominiarkę. Jesteśmy gotowi.

Z wysiłkiem przełazimy przez płot i zagłębiamy się w ciemność.

Nagle głośny tupot! Coś rzuca się w krzaki przed nami!

Ziołek staje jak wryty. Wpadam na niego.

– Co to było?! – szepcze.

– Może łania... odszeptuję niepewnie.

Cisza... Czuję jak Ziołek wstrzymuje oddech, wyciąga w przód szyję... Wygląda jakby węszył. Serce zaczyna mi paskudnie łomotać!

– A jeśli to coś dużego, burego i kudłatego...?!

Kilka susów i jesteśmy z powrotem na taborze!

– Rany boskie, Gosiu! Po co myśmy żzarli tyle miodu?!

– Zapalmy czołówki. On boi się światła – zaczynam racjonalnie myśleć.

– Tak, tak, tak, tak! – cieszy się Ziołek. – Zrobimy świetny zestaw antyniedźwiedziowy!

Po chwili suniemy drogą, uważnie rozglądając się na boki. Ja wyposażona jestem w łyżkę oraz menażkę. Pobrząkuję nimi, nie za głośno, bo nie zależy mi na tym, żeby On się zdenerwował. Ziołek, w wyciągniętych, ubranych w skarpetki rękach, dzierży rozpalony maksymalnie palnik. Zakręty bierzemy dużym łukiem. Przed każdym z nich dodatkowo głośno tupiemy, co dodaje nam animuszu. Ziołek zdobywa się nawet na dość buńczuczne okrzyki:

– Wynocha Misiu! Idź sobie stąd!

Przy schronisku, zestaw antyniedźwiedziowy łąduje w kosówkach, a my zapominamy o nocnych strachach.

Wieczorem siedzimy już w pociągu. Ja gapię się w okno, Ziołek czyta Choromańskiego. Nagle zdejmuję okulary, zamyśla się...

– Wiesz, czego najbardziej mi żal? – pyta.

– No? Wdrążonego kotła na Groszu? – domyślam się.

– Nie, nie, nie, nie! Tego, że nas nikt nie widział, jak dziś rano szliśmy do schroniska!

Małgorzata Siostra Morawska

Nasz wieloletni klubowy kolega i przyjaciel Ziemowit Jan Wirski zginął tragicznie w sobotę 16 września o godzinie 9.00, pod 400-metrową zachodnią ścianą Gerlachu, u wejścia w drogę Grosza.

Był współautorem i jednym z dwóch redaktorów kultowego przewodnika wspinaczkowego po Tatrach Polskich z 1989 roku, z czasem określanego krótko dwoma nazwiskami, w tym Ziomka. Niezwykle towarzyski i lubiany, miał też prawdziwy instynkt redaktorski, potrafił treściwie i dowcipnie dobrać słowa do opisu wielu środowiskowych sytuacji, niekoniecznie wspinaczkowych. W szerokim kręgu koleżeńskim był też tym, który wiedział, na co i kiedy warto się wybrać i służył chętnie radą, pamiętał też za kolegów, kto i kiedy coś ciekawego zrobił. Lubił także tropić nieścisłości i błędy przewodnikowe – chętnie tę wiedzę kolekcjonował i się nią dzielił.

Znał Tatry jak mało kto, i to w taki najwykleszy, bezpretensjonalny sposób. Ich odludne miejsca wręcz uwielbiał, starał się być na każdej ścianie i grani tatrzańskiej. I choć na ogół nie pisywał o tym

– ale za to jak opowiadał!

Ziomku, będzie nam Ciebie bardzo brakowało...



Wspomnienie o **Michale Andrzeju Wroczyńskim**

3 lipca 2006 roku zmarł w wieku 57 lat Michał Andrzej Wroczyński, znany wspinacz warszawskiego środowiska, tłumacz literatury science fiction, wspaniały kolega.

Choroba ujawniła się nagle. Jeszcze w drugiej połowie grudnia 2005 roku uczestniczył wraz z grupą przyjaciół w dorocznym spotkaniu świątecznym, a już tydzień później dowiedział się o nieuleczalnej chorobie. Chciał leczyć się, chciał żyć i do końca wierzył, że mu się to uda.

Swą przygodę z górami zaczął pod koniec lat sześćdziesiątych ze swoimi braćmi, Krzysztofem i Piotrem, tworząc – jak nazwał to w swej książce Krzysztof Łoziński – „klan Wroczyńskich”, do którego niebawem dołączył najmłodszy brat, Tomasz.

Na początku lat siedemdziesiątych związał się z całą grupą młodych, warszawskich wspinaczy, z którymi nie tylko wspinał się w Tatrach i innych górach, ale przede wszystkim zaprzyjaźnił się. Więzy tej przyjaźni przetrwały aż do jego śmierci. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte to nieustanny czas wspinania, przerywany pracami wysokościowymi, gdyż wraz z całą grupą przyjaciół założył zespół do prac wysokościowych. To był chyba najbardziej barwny okres w jego życiu: jazdy kupionym samochodem (żuk) po całej Polsce z jednych prac na drugie (a nawet poza Polskę, do Francji) i jak tylko czas pozwalał – wypadu w góry.

Nie sposób wyliczyć wszystkich osiągnięć górskich Michała, ale warto może wspomnieć pierwsze przejście w 1973 roku direttissimi północnej ściany Alam-Kuh w Iranie, czy wytyczenie, wraz z Michałem Nanowskim i Janem Hobrzańskim, pięknej, nowej drogi na Młynarzowych Widłach w Tatrach w 1975 roku.

Michał był aktywny we wszelkich środowiskach warszawskich wspinaczy, poczynawszy od UKA – Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego, PKG – Polskiego Klubu Górskiego, skończywszy na Kole Warszawskim PZA. Z tymi też klubami wyjeżdżał we wszystkie niemal góry świata, jak na przykład w 1976 roku w Hindukusz z Polskim Klubem Górskim, na której to wyprawie zdobył Noshag (7492 m n.p.m.). Trudno wyliczyć osoby, z którymi Michał związał się liną. Byli wśród nich również ci najlepsi, jak Kukuczka, o czym ten wspomina w swej książce „Mój pionowy świat”, czy Piotrowski – partner Michała na zwieńczonej sukcesem wyprawie na szczyt Tirciz Mir (7690 m m.n.p.).

Drugą jego pasją była literatura, którą kochał i na której świetnie się znał. Dziś „wchodząc do internetu”, pod hasłem Michał Wroczyński można znaleźć grubo ponad sto przełożonych przez Niego książek. W swoje tłumaczenia wkładał olbrzymią pracę, starając się nie tylko przełożyć tekst, ale również wyrazić najskrytsze zamierzenia autora. Gdy umarł, obok niego leżało pióro, niedokończone tłumaczenie i okulary.

W ostatnią drogę, do grobu rodzinnego w Białymstoku wyruszył z rodziną i do końca wierną Mu grupą przyjaciół. Będziemy Go wszyscy pamiętali jako wspaniałego kolegę, człowieka oddanego bez reszty górom, kochanego brata i nigdy nie zapomniemy Jego specyficznego dowcipu, którym zadziwiał wszystkich.

Piotr Wroczyński

P O - S Ł O W I E P O - P R E Z E S A

Good time, bad time...

(Rzecz o wypadkach...)

Czasami zastanawiam się, jak różnie każdy z nas uprawia wspinanie. Dziedzina niby jedna, lecz każdy ma do niej swoje indywidualne, unikalne podejście. Ktoś wspinają się dużo i często, nie zważając na przeciwności losu ani okoliczności przyrody, gnany jakimś wewnętrznym imperatywem, inny znów to wspinanie celebry, smakuje, wspina się od przypadku do przypadku, mając zawsze na uwadze jakieś inne wartości, które jednak nie zawsze i nie każdemu wspinaniu towarzyszą. Jedni traktują wspinanie jako czysty sport, dla innych znów jest to przeżycie mistyczne, gdzie rywalizacja jest prawie nie istotna. Co jest wspólne dla tych całkiem odmiennych podejść do tej samej czynności? Otóż niewątpliwie takim wspólnym elementem jest zagrożenie życia towarzyszące każdej wspinaczce górskiej. Każdy wspinacz w naturalny sposób to ryzyko podejmuje, ale i stara się ograniczyć do minimum. Są też tacy, którzy w góry po prostu nie jeżdżą właśnie z tego powodu, zadowolając się wspinaniem na mniejszych formach lub sztucznych ściankach, chodząc po drogach dobrze ubezpieczonych, gdzie ryzykują co najwyżej niewielką kontuzję.

Skrajnie odrotnym przypadkiem będą ci, którzy świadomie podejmują największe wyzwania w najwyższych górach. Rezygnują z asekuracji i partnera, wybierają najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne drogi, aby doznawać takiego skoku adrenaliny, który uniemożliwia popełnienie jakiegokolwiek błędu i pozwala im cało powrócić do domu.

Jak widać, reguł nie ma. Każdy wybiera to, co mu najbardziej odpowiada. Nie można też powiedzieć, że ci, którzy ryzykują więcej, częściej ulegają wypadkom niż pozostali. Tu reguły też nie ma. Wypadki się po prostu zdarzają i nie ma na to rady.

Rodzi się w tym momencie pytanie, czy ryzykując odpowiednio długo, musimy w końcu kiedyś ulec wypadkowi? Otóż odpowiedź jest negatywna. Nigdy nie musimy ulec wypadkowi. Natomiast trzeba dobrze zdawać sobie sprawę, że zawsze możemy ulec wypadkowi. Jeśli chcemy, aby wypadki nas „omijały”, musimy mieć dobry „timing”. Oznacza to, że, realizując nasze cele, powinniśmy znajdować się zawsze we właściwym miejscu o właściwym czasie. Zasada ta dotyczy oczywiście wszystkich naszych ziemskich działań. Będąc we właściwym miejscu o właściwym czasie, włos z głowy nam nie spadnie. Chyba, że naszym celem jest właśnie umrzeć... Tak czy inaczej, moi drodzy, jest nad czym się zastanowić i nad czym popracować... bo w końcu...

Trening czyni mistrza

Tak jak powiedziałem wcześniej, mieć dobry „timing” to podstawa każdego skutecznego działania. Pytanie teraz brzmi: co zrobić, aby być we właściwym miejscu o właściwym czasie?

Otóż sprawa nie jest do końca prosta i wymaga pewnego wyjaśnienia.

Właściwy czas w przypadku podejmowania działań górskich jest to taki moment, w którym nasze ciało, dusza i umysł są w sposób przynajmniej dostateczny przygotowane do realizacji wytyczonego celu. Im wyższa jest ta gotowość, tym lepiej. Musimy sobie zdawać przy tym sprawę, że nasze ciało, dusza i umysł stanowią jednocześnie pułapkę, a więc są naszym zagrożeniem. Nie trzeba wielkiej filozofii, aby zauważyć,



że słabo wytrenowane ciało nie podoła trudnościom technicznym drogi. Z kolei strach i obawa, że jeśli pojawia się w nadmiarze, spowodują, że nasze ruchy zostaną sparaliżowane, zaciśnięte pośladki uniemożliwią racjonalne myślenie, co w konsekwencji doprowadzi do podjęcia błędnych decyzji i błędów np. w asekuracji. W końcu, sięgając do sfery metafizycznej, jeśli nasza dusza pozbawiona będzie wiary w sukces i powodzenie przedsięwzięcia, to w tym momencie skazani jesteśmy na porażkę. Dobrze jest przed przystąpieniem do jakiegokolwiek działania zadać sobie pytanie, czy wierzę w powodzenie tego, co zamierzam zrobić. Bez tej wiary nie warto nawet zaczynać.

Jak widać, wszystkie trzy wymienione wyżej elementy, na które sami mamy wpływ, decydują w znacznym stopniu o sukcesie lub porażce. Elementy te są „czynnikiem subiektywnymi”. Mogą być naszym sprzymierzeńcem i bronią, ale również zagrożeniem. Brak właściwego przygotowania we wspomnianym zakresie i zgoda na „bylejakość” w prosty sposób doprowadzić może do wypadku. Do wykonania konkretnego zadania górskiego musimy po prostu dojrzeć fizycznie, psychicznie i duchowo. Jeżeli uznaliśmy już, że dojrzelismy, to znaczy, że jeden warunek timingu został spełniony. Biada nam, jeśli się mylimy...

c.d.n.

Siekiera



SZKOŁA ALPINIZMU W PIONIE



ZAPRASZA NA

➔ **NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

➔ **KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁKACH I W TATRACH**

WWW.WPIONIE.PL

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy



0 601 24 29 23
0 501 501666



MONTANO

Ciesz się wiatrem...

**TWORZYMYSIĘ ODZIEŻ
BYŚ MOĞE
CIESZYĆ SIĘ WIATREM,
GÓRAMI I WSPINACZKĄ.**

**CZŁONKOWIE KWW
20 - 30% ZNIŻKI**



PARMA WINDTECH

ULTRA LEKKA DŁUŻA 290 G, MATERIAŁ WINDTECH 100,
ZAMKI YKK, KIESZONKA NA PIERSI, DWIE KIESZENIE BOCZNE
ZAPINANE NA ZAMEK, WSTAWKI ZE STRETCHU
CENA 269 ZŁ

CENA DLA CZŁONKÓW KWW: 210 ZŁ

WIĘCEJ INFORMACJI NA STRONIE INTERNETOWEJ

WWW.MONTANO.PL

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa:

- Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, gdzie znajdziesz ludzi podzielaćcych Twoją pasję - góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.
- W ramach naszej składki - jednej z najniższych w kraju - otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:
- renomowany półrocznik A/Zero przysyłamy Ci pocztą do domu,
 - otrzymasz zniżki nawet do 20% w ponad dwadzieścia firmach i sklepach współpracujących z klubem a także schroniskach,
 - będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
 - uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
 - będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swoje osobisty wykaz przejęć
 - ...I wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą

Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu - gdziekolwiek się udajesz - uzyskasz potrzebne Ci informacje. Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej technik pod okiem najlepszych instruktorów.

Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, łóżnociannicz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.

Będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie - wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów

Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych „Obozowa” (zniżka na karnet dla KWW) oraz „Nowowiejska” (wtorek od 20 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).

W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16-22). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej - uzyskasz dostęp nielimitowany.

Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi „Alp Extreme” i „W Pionie” uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia

A jeżeli będziesz tylko chciał - uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy. Jak przystąpić do Klubu ?

Nie stawiamy żadnych barier formalnych - każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków - jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść swój wkład w nasz rozwój - serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejęć (może być skałkowymi lub bulderowymi) - to otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę gorską itp.) - to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisz się do Klubu można:

Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, godz. 20-22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przysyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Przystępując korespondencyjnie - legitymację wyślemy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz samemu).

Składki:

1. Uczący się do lat 26 – opłata roczna 40 PLN + 40 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (po 1 lipca) składka 30 PLN + wpisowe 40 PLN,
2. Osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 60 PLN + 60 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (po 1 lipca) składka 40 PLN + wpisowe 60 PLN,
3. Instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. Dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. Dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. Członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści bezpłatnie.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów we wtorki od 20 do 22.15 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać taniej karnety (na 10 wejść w dowolnym terminie) na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60 – cena karnetu 120 zł.

Bulderownia:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12.

Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16-22 (opłata 5 PLN za wejście)

Dla osób należących do sekcji bulderowej - bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8-22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku Klub Wysokogórski Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń pomiędzy bardziej i mniej doświadczonymi kolegami i koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom - dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na oboz, który jest umieszczony na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nie posiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecanym przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul. Noakowskiego 10/12 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON K00987911
Sekretariat Wtorki 19.30-22.30 ul. Nowowiejska 37B	KRS 0000122453
Internet http://kw.warszawa.pl	Konto Millennium Big Bank SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085 ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa

BCA

bcaccess.com

Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub - kontakt marekcy@orange.pl



Kayland (MountX)

www.mountx.pl www.kayland.com

biuro@mountx.pl

Dystrybutor obuwia Kayland - MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele - szczególnie w aktualnościach



MONTANO do 30%

www.montano.pl www.sklep.montano.pl

sklep@montano.pl

Firma MONTANO zajmuje się produkcją odzieży dla ludzi aktywnych. Tworzymy odzież dla wspinaczy, ponieważ sami z niej korzystamy.
tel. 018-2665632, 0888-862-397
Od 20 do 30% zniżki na odzież, sprzęt i akcesoria wspinaczkowe.



YETI do 30%

www.yeti.com.pl

sales@yeti.com.pl

Producent kurtek i spiworów puchowych.

Zakupy można realizować:

03-710 Warszawa

ul. Okrzei 18

tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01

Osobą kontaktową jest Pani Anna Bielicka

Specjalny 30% rabat dla członków KWW na białizną termoaktywną Native Planet.

Na produkty YETI od ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu.

Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.



MAŁACHOWSKI do 20%

www.malachowski.com.pl

info@malachowski.com.pl

Pracownia Sprzętu Alpinistycznego

43-426 Dębówiec

ul. Skoczowska 49

tel.: 033-8562261

43-300 Bielsko-Biała

ul. Rynek 24

tel.: 033-8168687

Dla członków klubu 20 % zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).



MARABUT do 20%

www.namioty.pl

biuro@marabut.pl

Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.

32-070 Czernichów 451

tel.: 012-2702424

Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.



ON-TOP do 20%

www.on-top.pl

maku@namioty-ekspedycyjne.pl

Sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokości.

Namioty ekspedycyjne

Warszawa

ul. Limanowskiego 7/3

tel.: 022-842-20-81

Dla członków klubu za okazaniem legitymacji 10% zniżki na sprzęt wspinaczkowy oraz 20% na namioty ekspedycyjne Eureka!



PLUS Mountain Bike Shop do 20%

www.rowery.com.pl

plus@rowery.com.pl

Rowery górskie, części, akcesoria

Warszawa - Ursynów

ul. Zamiany 12

tel. 022-644-29-02



ROSSIGNOL do 20%

www.pmsport.pl

Dla członków klubu za okazaniem specjalnej karty rabatowej (szczegóły dotyczące zamówienia karty w biuletynie):

10% zniżki na zakupy (15% na produkty PEAK PERFORMANCE) i 20% zniżki na usługi w punktach:



ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH KLIF GDYNIA

Gdynia, al. Zwycięstwa 256, tel. 0 58 664 98 97

QUIKSILVER ROXY BOARD RIDER-GALERIA RYNEK

Kraków, ul. Rynek Główny 12, tel. 0 12 617 02 18

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH GALERIA KAZIMIERZ

Kraków, ul. Podgórska 34, tel. 0 12 433 03 23

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH GALERIA KRAKOWSKA

Kraków, ul. Pawia 5, tel. 0 12 628 78 49

ROSSIGNOL PRO SHOP

Kraków, Rynek Główny 13, tel. 0 12 617 02 19

ROSSIGNOL PRO SHOP-CH GALERIA MOKOTÓW

Warszawa, ul. Wołoska 12, tel. 0 22 541 34 78

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH SĄDZIA BEST MALL

Warszawa, ul. Powiśńska 31, tel. 0 22 550 33 35

ROSSIGNOL ROXY PRO SHOP-CH ARKADIA

Warszawa, ul. Jana Pawła II 82, tel. 0 22 313 20 49

OUTLET CENTRE PIASECZNO

Warszawa, ul. Puławska 42E, tel. 0 22 750 21 79

SUMMIT (ASOLO) do 20%

www.summit-asolo.pl

summit.asolo@op.pl

Zniżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki

ASOLO

Indywidualnie zniżka 10%-20% w zależności od zamawianego towaru.

Na grupę zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości

Sklep - Katowice ul. Kościuszki 10



TIYO POINT do 20%

www.tiypoint.pl

sklep@tiypoint.pl

Internetowy sklep podróżniczy

42-200 Częstochowa

ul. Dekabrystów 82

tel.: 603.623.824

Aktualne zniżki dla członków KW: 5 - 20 % w zależności od produktu



e-biwak.pl do 12%

www.e-biwak.pl

sklep@e-biwak.pl

Internetowy sklep turystyczny.

tel.kom 0606-707-102

tel: +48 (055) 245-00-32; fax: +48 (055) 245-00-33

Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty.

W rubryce uwagi wpisywać „KWW” celem identyfikacji



ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN Zakopane do 10%

www.sfpl.pl

alpl@ealp.pl

Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka

34-500 Zakopane

ul.Krupówki 11 – alpl@ealp.pl

tel.018-2017095

34-500 Zakopane

ul.Krupówki 28 – alpl6@ealp.pl

Sklepy czynne: pon. – czw. 11-18, pt. i sob. 11-19 niedz., 11-16



ALPINSKLEP do 10%

www.alpinskiel.pl

bomar@alpinskiel.pl

Turystyka, wspinaczka, trekking

Sklep firmowy Himountain

02-591 Warszawa

ul. Batorego 39,

Metro Pole Mokotowskie

tel.: 022-825-81-61, 022-825-98-50, 022-825-48-95

Artykuły: Karrimor, buty Aku, Berghaus, The North Face



AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
 Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery,
 akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
 Przemysły
 ul. 3-go Maja 12
 tel.: 016-679-02-10
 Ustrzyki Dolne
 ul. 29-go listopada 26
 tel.: 013-461-34-74
 Jarosław
 Pl. Mickiewicza 11
 tel.: 016-621-67-68



BERGSON do 10%
www.bergson.pl
biuro@rgsport.pl
 Warszawa
 Galeria Ursynów ul. KEN 36 lok 33
 tel.: 022-649-13-54



BEZDROŻA do 10%
www.bezdroza.sklep.pl
sklep@bezdroza.sklep.pl
 Profesjonalny sklep turystyczny.
 00-637 Warszawa
 ul. Armii Ludowej 17
 tel.: (22) 825-51-87
 Dla członków KW niższa na towary nie objęte promocją.



CAMPUS/ARCO SPORT do 10%
 Warszawa
 C.H. Auchan
 ul. Puławska 46
 tel.: 022-716-95-25
 Warszawa
 C.H. Targówek
 ul. Głębocka 15
 tel.: 022-313-12-03



CAMPUS/CERRO TORRE SPORT do 10%
www.cerrotorre.pl
 sieć sklepów Jacka Fludera - CERRO TORRE SPORT

Kraków
 C.H. M1
 Aleje Pokoju 67
 tel.: 012-2965900
 Kraków
 ul. Sienna 14
 tel.: 012-4296812
 Wrocław
 C.H. Auchan
 ul. Francuska 6
 tel.: 071-7806647
 Katowice
 C.H. Supersam
 ul. Piotra Skargi 6
 tel.: 032-7810377
 Zabrze
 C.H. M1
 ul. Plut. R. Szukubacza 1
 tel.: 032-7770410

CLIMBING-SHOP.COM do 10%
www.climbing-shop.com
info@climbing-shop.com
 Wspinaczkowo - turystyczny sklep internetowy
 tel/fax.: 032-223-26-86



HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
 Warszawa
 C. H. Reduta
 Al. Jerozolimskie 148



Warszawa
 ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia)
 Warszawa
 C.H. Arkadia
 Al. Jana Pawła II 82
 Warszawa-Janki
 C.H. Geant
 ul. Mszczonowska 3
 10% niższy dla KW Warszawa

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl
mail@multanex.com.pl
 Warszawa
 Al. Jana Pawła II 32
 tel.: 022-620-36-76



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl
 Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów
 ocieplanych puchem
 Gdynia
 ul. Nowodworcowa 15
 tel.: 058 6294298



SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
sklep@sherpa.pl
 Sklep górski
 00-672 Warszawa
 ul. Piękna 68
 tel.: 022-621-15-25
 Dla członków KW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% niższy na wszelki asortyment nie objęty promocją.



SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
 Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki,
 mapy i literatura.
 Warszawa
 ul. Grójecka 46/50
 tel. 022-668-66-08
 Warszawa - K1
 ul. Kaliska 8/10
 tel. 022-822-64-81
 Warszawa - K2
 ul. Kaliska 8/10
 tel. 022-822-54-87



EXTREME SPORT - Zakopane do 7%
www.extreme.z-ne.pl
 604451660@erantet.pl
 Zakopane
 ul. Krupówki 36
 tel.: 018-2062999



POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl
 Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wybór odzieży i sprzętu do turystyki wspinaczkowej, alpinizmu, skitingu.
 Najlepsze marki, konkurencyjne ceny, częste promocje.
 Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy ul. Siennej 15 w Krakowie.

www.polarsport.pl

Wszystkie зниżki za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami za bieżący rok.

Wstęp do KW Warszawa
Zapisz się przez internet

www.kw.warszawa.pl

